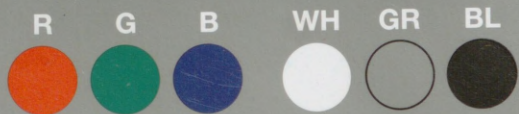


Part Code
ST1316



Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



ALEKSANDER MALINOWSKI

1869 — 1922

ZBIOROWA KSIĘGA PAMIĄTKOWA

LEON WASILEWSKI JÓZEF PIŁSUDSKI
MARJA PASZKOWSKA KAZIMIERZ ROŹNOWSKI
BORYS WIGILEW EMIL HAECKER



KRAKÓW 1924



2

ALEKSANDER MALINOWSKI

1869 — 1922

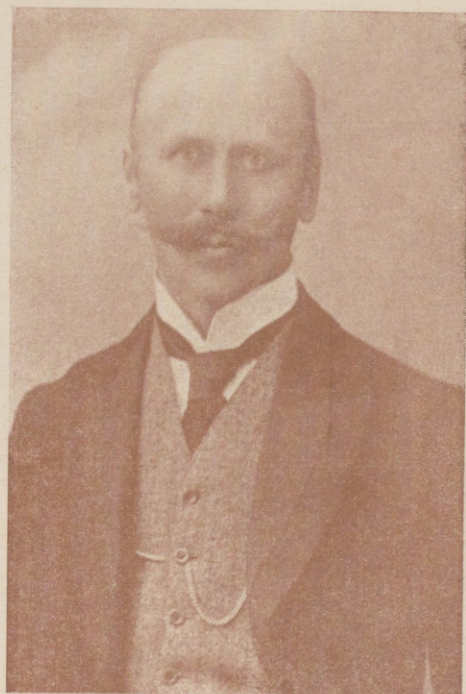
ZBIOROWA KSIĘGA PAMIĄTKOWA

LEON WASILEWSKI
MARJA PASZKOWSKA
BORYS WIGILEW

JÓZEF PIŁSUDSKI
KAZIMIERZ ROŻNOWSKI
EMIL HAECKER



KRAKÓW 1924



ALEKSANDER MALINOWSKI

1869—1922

ZBIOROWA KSIĘGA PAMIĄTKOWA

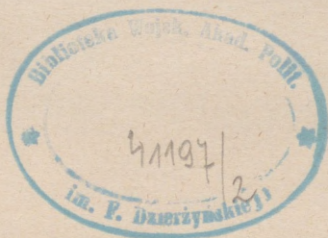


KRAKÓW 1924
NAKŁADEM RODZINY
DRUKARNIA LUDOWA

92 (Melinowski A) 13K31

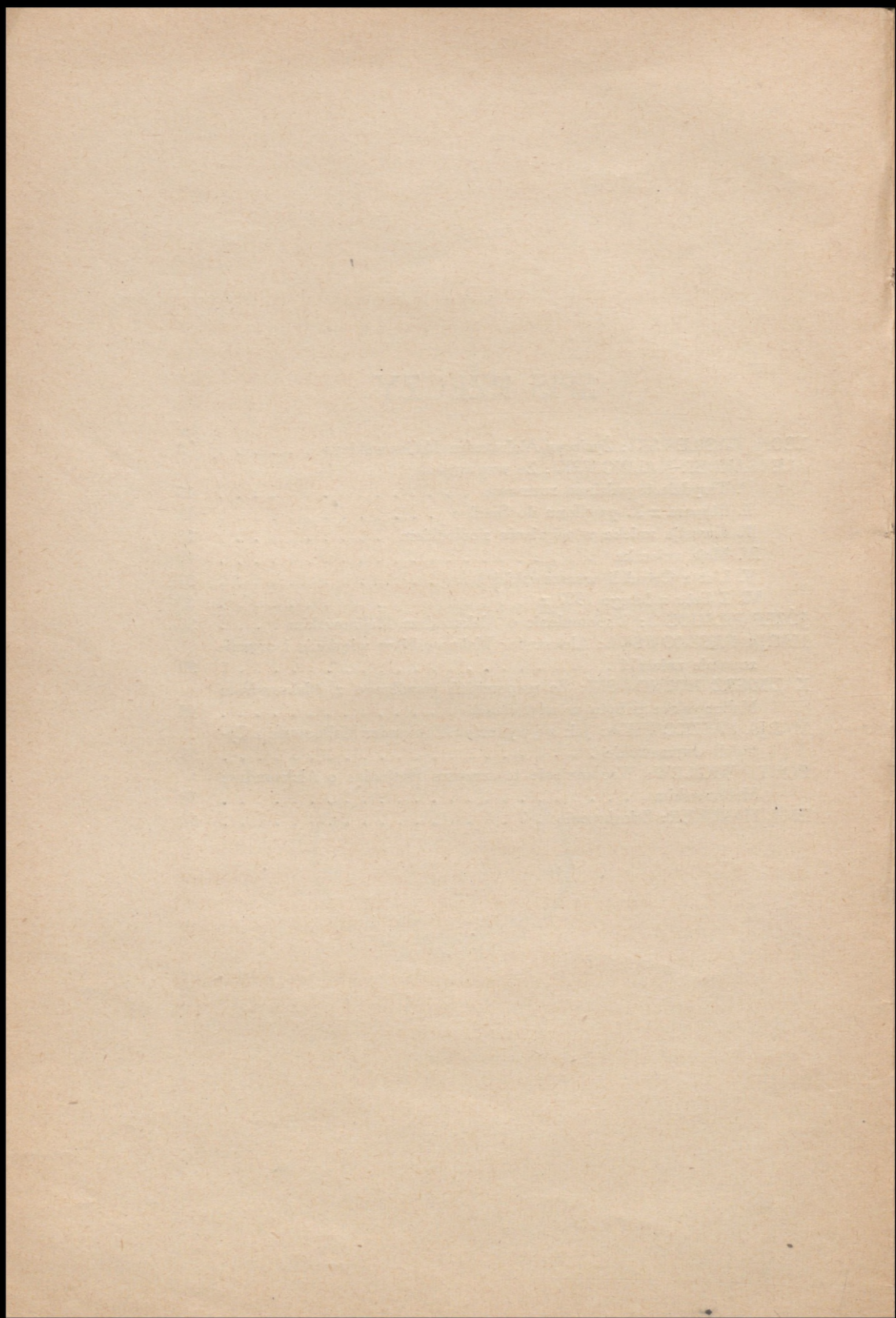
Spuścizna dzieciom po ojcu:

Idźcie jego śladami!



SPIS RZECZY

	Str
LEON WASILEWSKI: Życiorys Aleksandra Malinowskiego	5
ALEKSANDER MALINOWSKI: Ze wspomnień	
I. Trzydziestogodzinna rozmowa	15
II. Etapem z X. pawilonu do Siedlec	18
III. Kwestja unicka w więzieniu siedleckim	23
IV. Moja ucieczka	28
V. List z Cytadeli warszawskiej	31
VI. Z listu z lutego 1907 r.	33
JÓZEF PIŁSUDSKI: Wspomnienie o Aleksandrze Malinowskim	36
MARJA PASZKOWSKA: Aleksander Malinowski w więzieniu i organizowanie ucieczki	39
KAZIMIERZ ROŻNOWSKI: Ze wspomnień wspólnego z Aleksandrem Malinowskim pobytu w więzieniach	45
MARJA PASZKOWSKA: Jak się wydostał Aleksander Malinowski z Cytadeli warszawskiej	55
BORYS WIGILEW: Wspomnienie towarzysza Rosjanina o Aleksandrze Malinowskim	58
EMIL HAECKER: Zakończenie	62





Na ponurem tle beznadziejnych, zdawałoby się, lat końca XIX wieku jak ognisty meteor zajaśniała praca rewolucyjna P. P. S. Garść straceńców, tropionych niby dzikie zwierzęta przez zaborców, otaczanych niechęcią, jeśli nie nienawiścią, większości własnego społeczeństwa, rzuciła się naprawdę „z motyką na słońce“. Postanowiła ona wydobyć z polskich mas pracujących taką potęgę, któraby w proch obróciła więzienie najazdu i na jego gruzach wzniosła podwaliny gmachu sprawiedliwości społecznej, dobrobytu i szczęścia całego narodu. Ci „ludzie bezdomni“, „ludzie podziemni“, skazujący się dobrowolnie na „krecie życie bez słońca jasności“ — wystąpili zbrojni tylko w wiarę, że ich praca ofiarna musi doprowadzić do celów, które sobie wytknęli.

I szli — jeden za drugim, niosąc na stos swe serca szlachetne, nie cofając się przed żadnym niebezpieczeństwem, nie zrażając się żadnym niepowodzeniem, żadną klęską. Z małej garstki powstały z biegiem czasu wielkie zwarte szeregi. Siły, wykuwane tajemnie w mrocznych podziemiach, wydobyły się wreszcie na powierzchnię życia i jęły coraz mocniej bić w fundamenty niewoli i wyzysku. Z małej iskierki rozpalił się wielki płomień, który ożywił to, co było najlepszego w kraju. I ci, którzy z niesłychanym wysiłkiem rozdmuchiwali pierwsze iskierki tego płomienia, doczekali się wreszcie świtu triumfu: znikł najazd z ziem polskich, które się w jedną całość złączyły, lud polski ujął we własne ręce ster swego losu, Polska weszła na szeroką drogę demokracji i reform społecznych.

Jednym z tych „ludzi bezdomnych“, „ludzi podziemnych“, którzy doczekali się triumfu ukochanej idei i odeszli z gorącą wiarą w dalsze jej niezawodne wcielanie się w życie, był Aleksander Malinowski.

* * *

Aleksander Malinowski, jak cały szereg wybitnych działaczy naszych, pochodził z Kresów. Urodził się dnia 27 lutego 1869 r. we wsi Łuka pow. taraszczańskiego na Ukrainie, gdzie ojciec jego, Antoni, był dyrektorem cukrowni. Antoni Malinowski, powstaniec z 1863 r., zmarł, osieracając 7-ro dzieci, kiedy Aleksander nie miał jeszcze lat 14-tu. To też sieroty wychowywały się w tradycjach, żyjących głównie w rodzinie matki — Malwiny z Grosheimów. Jej brat rodzony, doktor medycyny Alfred Grosheim, zginął w r. 1863, drugi wuj Aleksandra, mąż siostry matki, Romuald Olszański, został rozstrzelany w Kijowie za pracę wśród młodzieży, przygotowującą organizację powstańczą. Stąd atmosfera czci i przywiązania do idei walki z najazdem moskiewskim, panująca w domu Malinowskich.

Osierocona tak wczesnie rodzina znalazła się w ciężkim położeniu materialnem. Starano się jednak zapewnić dzieciom możliwość kształcenia się. Aleksandra tak samo jak i młodszego jego brata, Romana (który zmarł w młodym wieku), oddano do gimnazjum w Białej Cerkwi.

W gimnazjum białocerkiewskim istniały tajne kółka samokształcenia oraz tajna polska biblioteczka, w której nie brakowało i broszur socjalistycznych. Panowały tam stosunki względnie znośne, dzięki taktownemu zachowywaniu się wobec Polaków dyrektora Piereświewowa.

Od klasy 5-tej Aleksander utrzymywał się sam, nie chcąc być ciężarem dla rodziny. Uczył się dobrze i miał opinię spokojnego, rozważnego chłopca. Gimnazjum skończył w r. 1888 i dla zdobycia funduszu na dalsze studia przebywał rok na kondycji w rodzinie p. Wróblewskiego, zarządzającego majątkiem Branickich.

W r. 1889 przybył do Charkowa, gdzie — po zdaniu egzaminu konkursowego — wstąpił na wydział mechaniczny Instytutu Technologicznego. Żywy temperament i zapoznanie się już na ławie gimnazjalnej z podstawami socjalizmu pchnęły go do działalności społecznej. Studja zawodowe, udział w życiu kolonii studenckiej, wreszcie praca w organizacji socjalistycznej wypełniły te 6 lat (1889—1895), jakie spędził w Charkowie.

Malinowski szybko wysunął się na czoło studenterji polskiej, która go też wydelegowała na ogólnopolski zjazd młodzieży wyższych zakładów naukowych Rosji, zwołany w r. 1891 do Moskwy. Charakterystyczne, że właśnie na tym zjeździe poznał —

pierwszego socjalistę polskiego w osobie... Romana Dmowskiego. Po powrocie ze zjazdu stał się uznanym kierownikiem charkowskiej młodzieży polskiej, wówczas dość nielicznej. Należąc do polskiej organizacji studenckiej, jednocześnie wchodził do ściśle zakonspirowanego kółka socjalistów rosyjskich, gdzie toczono dyskusje teoretyczne na rozmaite tematy. Z tego czasu pochodzi rozprawka Malinowskiego o moralności racjonalistycznej, za którą otrzymał nagrodę konkursową w kwocie 25 rubli.

Wśród młodzieży polskiej i rosyjskiej Malinowski był nadzwyczaj lubiany i szanowany za prawość charakteru, równowagę i spokój, z jakim zawsze występował. Choroba, której pierwsze początki datowały się jeszcze z czasów gimnazjalnych, kiedy musiał ciężko pracować w bardzo niepomysłnych warunkach materialnych, zniewoliła go do przerwy w studjach, skutkiem czego stracił rok cały. Ale bo też i czas był najwyższy, aby się zająć poważnie nurtującą chorobą, mdlał bowiem na zebraniach. Wkońcu musiał się poddać operacji gruźlicy, zaatakowanej przez gruźlicę. Operacji tej nie dokończono i wysłano go na kurację kumysową do gub. samarskiej.

To postawiło go na nogi i pozwoliło podjąć na nowo przerwane studia, które skończył w r. 1895, zdając celująco egzamina inżynierskie.

Malinowski znajdował się już wówczas w stosunkach organizacyjnych z P. P. S., która posiadała placówki swe w głównych ośrodkach uniwersyteckich państwa rosyjskiego. Szerząc ideje socjalizmu niepodległościowego wśród kół młodzieży polskiej, gromadziły one jednocześnie fundusze na robotę socjalistyczną w kraju i przygotowywały dla tej roboty siły kierownicze. Petersburg, Moskwa i Charków, później Kijów były temi ośrodkami, skąd P. P. S. czerpała znaczną część swych zasobów materialnych i te siły inteligenckie, na których opierała się organizacja partyjna w kraju. Swem oddaniem idei rewolucyjnej i energią organizatorską Malinowski wysunął się na czoło charkowskiej organizacji P. P. S. Jego wpływowi partja zawdzięczała, że Korporacja Polska — organizacja ogółu polskiej młodzieży studjującej w Charkowie — ustawowo składała 20% swych dochodów na rzecz roboty partyjnej w kraju.

Opuściwszy Charków, Malinowski przeniósł się do Warszawy i, otrzymawszy posadę w fabryce „Vesta“, później zaś

na kolei Nadwiślańskiej, wziął wybitny udział w pracy organizacyjnej P. P. S.

Były to pierwsze, najcięższe lata życia P. P. S., która dopiero powoli budowała swoją organizację, tworząc w głównych centrach przemysłowych nikłe jeszcze kółka agitacyjno-propagandystyczne, zasilając je „bibułą“, bądź drukowaną w tajnej drukarni „Robotnika“, bądź sprowadzaną nielegalnie, kontrabandą, z Londynu. Cała praca P. P. S. — ideowa i techniczna — spoczywała na barkach kilku ludzi, — pionierów nowej idei wśród pogrążonego w bierności społeczeństwa.

Malinowski zajął w tym szczupłym szeregu ofiarnych strażników jedno z pierwszych miejsc. Podtrzymywał stosunki z rozrzuconymi po kraju organizacjami robotniczymi, rozwodził „bibułę“, dojeżdżał do kolonij P. P. S. w Rosji, agitował, organizował, krążąc ustawicznie między Warszawą a Kijowem, Zagłębiem Dąbrowskiem a Moskwą, granicą — Petersburgiem i Charkowem. Przez szereg miesięcy udawało mu się szczęśliwie unikać potrzasków żandarmskich, ale stopniowo robiło mu się coraz „ciaśniej“, pomimo że teren jego działalności był tak rozległy. Obserwacja szpiegowska zaczęła utrudniać Malinowskiemu swobodę ruchów. Nie chcąc być aresztowanym, musiał zniknąć na pewien czas z widowni i wyjechać za granicę. Lecz nie na odpoczynek udawał się, opuszczając kraj na kilka miesięcy. Miał niebawem powrócić do roboty partyjnej, ale już w innym charakterze, jako działacz „nielegalny“, jako jeden z kilku członków najściślejszej organizacji kierowniczej P. P. S. — jej Centralnego Komitetu Robotniczego.

Dla przygotowywania się do tej roli zjawił się w Londynie na początku 1898. Wówczas Londyn był ważną placówką P. P. S. Tam, w dzielnicy whitechapelskiej, przy Beaumont Square mieściły się: siedziba Centralizacji Związku Zagranicznego Socjalistów polskich, drukarnia „Przedświtu“ i „Światła“ oraz wszystkich zagranicznych wydawnictw partyjnych wraz z ich olbrzymim składem. Malinowski, występujący pod pseudonimem „Władka“, stanął przy kaszcie w drukarni „Przedświtu“ i począł się uczyć zecerki, by móc później zużytkować ten fach w kraju. Przez kilka miesięcy wprawiał się w składaniu, jednocześnie biorąc żywy udział w życiu wewnętrznym polskiej emigracji socjalistycznej Londynu.

Przez ten czas szpicle carscy zgubili tropy Malinowskiego i potrosze o nim zapomnieli. Mógł więc powrócić do kraju, nie narażając się na niebezpieczeństwo natychmiastowego skompromitowania się. Wrócił jako „nielegalny“ i stanął do roboty partyjnej. A trzeba wiedzieć, że podówczas Partja nie mogła sobie pozwolić na utrzymywanie większej liczby nielegalnych. Poprostu nie miała na to środków. To też w wyborze nielegalnych P. P. S. musiała kierować się wyjątkowymi kwalifikacjami kandydatów. Funkcje „nielegalnika“ wymagały bowiem nietylko zupełnego oddania się pracy partyjnej, ale wykonywania jej w niesłychanych warunkach: zerwania ze wszystkimi stosunkami osobistymi i rodzinnymi, wyrzeczenia się nietylko własnego nazwiska, ale również stałego mieszkania i wogóle normalnego życia. Nadto „nielegalnik“ musiał być przygotowany do aresztowania „na gorącym uczynku“, a więc z perspektywą nieuniknionego zesłania do najodleglejszych miejscowości podbiegunowych wschodniej Syberji.

W r. 1898, kiedy „Władek“ powracał przez Lwów do Warszawy, było tam zaledwie paru nielegalnych, między nimi „Wiktor“ (Józef Piłsudski) i „Edmund“ (Stanisław Wojciechowski, obecny prezydent Rzeczypospolitej). Malinowski wszedł w ich grono i całkowicie pogrążył się w robocie partyjnej, spełniając w dalszym ciągu te same funkcje, jakie przerwał był jego wyjazd do Londynu. Agitował więc, organizował, rozwoził „bibułę“ po kraju, dojeżdżał do kolonij studenckich P. P. S. i t. d. Kiedy Partja miała przenieść w r. 1899 tajną drukarnię „Robotnika“ do Łodzi, Malinowski czynił przygotowania do tego, później zaś dostarczał tej drukarni papieru, ponieważ trzeba było go przywozić skądinąd, aby nie zwrócić uwagi szpiegów faktem zakupu papieru w niezwykłych ilościach.

Jakiś czas szczęściło się „Władkowi“. Nie zwracał na siebie uwagi żandarmerji, choć, ustawicznie jeżdżąc po kraju z bibułą, dużo ryzykował, tembardziej, że wśród inżynierów kolejowych miał sporo znajomych z Charkowa, którzy niejednokrotnie spotykali „Władka“ radosnymi okrzykami: „Jak się macie, kolego Malinowski?!“, gdy właśnie taki okrzyk mógł go bezpowrotnie zgubić, bo papiery legitymacyjne, jakimi się posługiwał, opiewały na całkiem inne nazwisko. Coprawda, zmienił on do pewnego stopnia swój wygląd zewnętrzny, używając peruki, ale i to wkońcu nie uchroniło go od katastrofy.

Drukarnia „Robotnika“, szczęśliwie przeniesiona do Łodzi, funkcjonowała normalnie. Mieściła się ona przy ul. Wschodniej Nr. 19 m. 4, gdzie zamieszkali Józef i Marja Piłsudscy. Piłsudski redagował „Robotnika“, którego składał Kazimierz Różnowski, mieszkający gdzieindziej i przychodzący codziennie do pracy zecerskiej w doskonale zakonspirowanej drukarni. W lutym 1900 r. jakiś szpicel, który śledził Malinowskiego w Łodzi już w sierpniu 1899, kiedy tam drukarni jeszcze nie było, poznał go na ulicy i ustalił, że bywa w mieszkaniu przy ul. Wschodniej. Na skutek doniesienia owego szpicla aresztowano na dworcu kolejowym Malinowskiego i przeprowadzono rewizję w podejrzanym mieszkaniu, gdzie — ku niesłychanemu zdziwieniu żandarmerji — wykryto od tak dawna poszukiwaną drukarnię „Robotnika“ i wzięto oboje Piłsudskich.

Był to najcięższy cios, jaki dotknął P. P. S. od początku jej istnienia, gdyż obok drukarni wpadł w ręce zbirów carskich główny kierownik Partji. Ale Partji to nie zniszczyło. Pozostali na wolności jej kierownicy — „Edmund“, „Michał“ (Aleksander Sulkiwicz) i inni — nie tylko wypełnili spowodowane aresztowaniami wyrwy, ale postanowili odbić władzom carskim aresztowanych towarzyszy. Istotnie w maju 1901 roku wykradzono z petersburskiego szpitala św. Mikołaja Cudotwórcy Józefa Piłsudskiego. Na Malinowskiego przyszła kolej w rok później.

Ponieważ Malinowski początkowo siedział w X. pawilonie Cytadeli Warszawskiej, później zaś w Siedlcach, przeto postanowiono czekać zapadnięcia wyroku i zorganizować jego ucieczkę w drodze na Sybir. Malinowskiego trzymano pod śledztwem 2 lata, 4 miesiące i 2 tygodnie, poczem otrzymał on wyrok, skazujący go na 8 lat zesłania do wschodniej Syberji (Średnio-Kołymska). Dyrektor więzienia Siedleckiego po odczytaniu mu wyroku dodał żartem:

— Ale Pan chyba tam nie dojedzie...

— Dlaczego? — spytał zdziwiony Malinowski.

— Was „pie-pie-jes“ ukradiot, nawierno ukradiot, ale damy Panu doskonały konwój.

I rzeczywiście P. P. S. „ukradła“ Malinowskiego dnia 4 czerwca 1902 r. już w Mińsku Litewskim, skąd „Władek“ znikł z oczu przerażonego konwojenta. Wywołało to powszechny popłoch. W Warszawie wszystkie dworce kolejowe poobsadzano szpiegami, w niebywały sposób zapełniono też nimi pociągi,

ale Malinowski szczęśliwie uniknął tej obławy i wyjechał do Galicji, gdzie przebywał czas jakiś, później zaś do Londynu.

W r. 1904 Malinowski zajął się likwidacją resztek dawnej placówki P. P. S. nad Tamizą, przeniesionej już w przeważającej większości do kraju, do Galicji, gdzie od początku r. 1903 wychodził „Przedświt“ i gdzie skupiła się większość dawnej emigracji londyńskiej. Zajęty tą pracą i jednocześnie lecząc mocno nadszarpnięty przejściami więziennymi organizm, Malinowski przystąpił do gromadzenia materiału do historii ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim, korzystając z obfitych źródeł archiwum P. P. S.

W sierpniu 1904 r. Malinowski wziął udział jako delegat P. P. S. w międzynarodowym kongresie socjalistycznym w Amsterdamie. Uczestniczył też w paryskim zjeździe rewolucyjnych i opozycyjnych partyj państwa Rosyjskiego, zwołanym z inicjatywy Finlandzkiej partji czynnego oporu, poczem znów wrócił do swych zajęć londyńskich.

Niedługo jednak popasał na „Lingwoodzie“, mieszczącym emigrancki ośrodek partyjny po jego przeniesieniu z Whitechapelu na dalekie przedmieście Londynu — Leytonstone. Rozwój wypadków w kraju i w Rosji ściąga go niebawem do Krakowa, gdzie znajdował się podówczas ściśle zakonspirowany Komitet Zagraniczny P. P. S. Malinowski brał udział w jego pracach, dojeżdżał, oczywiście nielegalnie, do zaboru rosyjskiego i nawet pozostawał tam przez czas dłuższy, uczestnicząc w rozrastającej się robocie partyjnej.

Malinowski zachowywał się bardzo krytycznie wobec prądów oportunistycznych, które wtargnęły do P. P. S. razem z „młodymi“ przedstawicielami przyszłej „lewicy“, osłepionymi żywiolowym rozwojem ruchu rewolucyjnego w Rosji po słynnej Gaponadzie. Prowadząc robotę wojskową, szedł ręką w rękę z tak zwanymi „starymi“, bezwzględnymi niepodległościowcami, i zwalczał wymownie prąd „utożsamiania się“ z ruchem rosyjskim. Po rozłamie w P. P. S. Malinowski oczywiście pozostał w „starej“ Partji, która przez czas jakiś występowała pod firmą Frakcji Rewolucyjnej P. P. S., zanim nie powróciła do swej tradycyjnej nazwy bez żadnych dodatków. Wraz z całym szeregiem towarzyszy Malinowski powraca po rozłamowym zjeździe wiedeńskim do roboty krajowej w szeregach Frakcji Rewolu-

cyjnej P. P. S. Ale los mu widocznie nie sprzyja. Już 16-go grudnia 1906 r. zostaje aresztowany wraz z wielu towarzyszami partyjnymi w mieszkaniu na ul. Przemysłowej w Warszawie, podczas konferencji warszawskiej, zwołanej przez Frakcję Umiarowaną P. P. S. Malinowski znalazł się znowu w więzieniu, tym razem w jednym z fortów Cytadeli Warszawskiej. Wszystkich aresztowanych wówczas po pewnym czasie wypuszczono za kaucjami — aż do wytoczenia sprawy przed sądem. Kiedy na podstawie wiadomości poufnych przekonano się, że śledztwo przybiera charakter niepożądany, znaczna część wypuszczonych, między innymi i Malinowski, wyemigrowują za kordon — do Galicji.

Konieczność systematycznego leczenia się kazała mu nieco odsunąć się od czynnego udziału w organizacji partyjnej. Tem gorliwiej zabrał się do opracowania materiałów historycznych, gromadzonych już w Londynie. Ułożył specjalny kwestionariusz, ułatwiający zbieranie danych do dziejów ruchu od poszczególnych towarzyszy, i tą drogą otrzymał sporo przyczynków.

Kurczenie się organizacji partyjnej pod wpływem szalejącej reakcji Stołypinowskiej, jaka zapanowała po upadku rewolucji rosyjskiej, zniewoliło Malinowskiego, tak samo jak i wielu innych jego towarzyszy, do szukania oparcia materialnego w pracy zarobkowej. Wówczas to Malinowski, ożeniwszy się z towarzyszką Stefanją Dehnelówną, po krótkim pobycie w Krakowie, osiadł we Lwowie i powrócił do swego, od kilkunastu lat zaniedbanego, fachu technika. Przez pewien czas pracował na posadach w firmie Zacharjewicza, później zaś założył własne przedsiębiorstwo budowlane.

Wyspecjalizował się niebawem w budownictwie żelazo-betonem i stał się w tej gałęzi technicznej wybitnym fachowcem. Powierzenie mu przez towarzyszy przemyskich budowy Domu Robotniczego spowodowało przeniesienie się Malinowskiego do Przemyśla. Tam w r. 1912 ukończył budowę monumentalnego ogniska miejscowego życia robotniczego — politycznego, zawodowego i kulturalnego. W roku następnym wznosił w Krakowie przy ul. Dunajewskiego Nr. 5 dom dla potrzeb organizacji robotniczych, mający pomieścić Związek stowarzyszeń robotniczych, Drukarnię Ludową i redakcję „Naprzodu“.

Zajęty pracą fachową i zapadając od czasu do czasu na zdrowiu, co wymagało troskliwej kuracji, Malinowski nie tracił

kontakty z Partją i jej pracami. Zbliżył się z towarzyszami przemyskimi i krakowskimi i w miarę możliwości brał udział w życiu gromadki emigranckiej P. P. S., wyrzuconej do Galicji. W latach 1907 i 1911 wyszły nakładem wydawnictwa partyjnego „Życia“ dwa duże tomy jego dzieła „Materiały do historii P. P. S. i ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim“, zaopatrzone przedmową Józefa Piłsudskiego. Był to owoc jego żmudnych kilkuletnich prac, rozpoczętych jeszcze w Londynie. Wyzyskał on nie tylko wszystkie materiały archiwalne, drukowane po piśmie, ale również gromadzone przez siebie na podstawie specjalnego kwestionariusza zapiski, wspomnienia i notatki autobiograficzne działaczy partyjnych z różnych okresów ruchu. Uporządkował i opracował w ten sposób olbrzymi materiał, zaopatrzył go w porównawcze tablice statystyczne i dał wyczerpujący obraz całokształtu ruchu w latach 1893—1901. Trzeciego tomu, mającego zawrzeć materiał z lat 1902—1904, już nie zdążył dokończyć.

W zabiegach, jakie czynili kierownicy P. P. S. dla wyzyskania zbliżającej się wojny, Malinowski wziął czynny udział. Mieszkając w Przemyśle, dojeżdżał do Krakowa, aby uczestniczyć w naradach Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Po wybuchu wojny stanął znów do czynnej działalności politycznej, udając się wraz z pierwszemi oddziałami strzelców Piłsudskiego do Kielc. Jako członek założonej w Kielcach w r. 1914 Polskiej Organizacji Narodowej (P. O. N.) Malinowski brał udział w jej, zwłaszcza skarbowych, pracach i dzielił jej zmienne losy.

Po powtórnym zajęciu Kielc przez nieprzyjaciela i po ewakuacji Piotrkowa Malinowski wraz z resztą kierownictwa P. O. N. znalazł się na Śląsku Cieszyńskim, we Fryszacie, później zaś w Wiedniu. Pomimo ciężkiej choroby, oddawna nurtującej jego organizm, gorliwie zajmował się sprawami P. O. N., zaś po jej zlikwidowaniu i zlaniu się z N. K. N. opracował dlań w Wiedniu gruntowny memoriał o skarbowości i podatkach Królestwa.

Po krótkim pobyciu w Wiedniu i Zagłębiu Dąbrowskiem Malinowski powrócił do Galicji i osiadł na stałe w Krakowie. Prowadząc swą firmę budowlaną w spółce z inżynierem Kiełbasińskim, Malinowski rozwinął szeroką działalność w dziedzinie budownictwa żel-betonowego — przede wszystkim

fabryk w Zachodniej Małopolsce. Jego dziełem jest fabryka „Azot“ w Jaworznie, fabryka lokomotyw w Chrzanowie, „Len“ w Krośnie i t. d. Do ostatka dni swoich Malinowski pozostawał w kontakcie z towarzyszami partyjnymi i brał udział w pracy społecznej. Przed wyborami do Sejmu w roku 1922 był członkiem jednej z Komisji Obwodowych z ramienia P. P. S. w Krakowie. Niestety, już nie mógł pójść do głosowania, gdyż choroba przykuła go do łoża, interesował się jednak bardzo przebiegiem wyborów. Wreszcie lekarze kazali go wywieźć do Zakopanego. W przeddzień wyjazdu wezwał towarzysza Haeckera do siebie i wręczył mu większą sumę na fundusz partyjny.

Dnia 25 grudnia 1922 r. o godzinie 9-tej rano zmarł w Zakopanem. Zwłoki jego spoczęły na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Osierocił żonę i troje nieletnich dzieci, którym pozostawił w spuściźnie skarb najdroższy — przykład ofiarnej pracy całego życia dla szczęścia i przyszłości Ojczyzny.

Leon Wasilewski

ZE WSPOMNIENI ALEKSANDRA MALINOWSKIEGO

I

TRZYDZIESTOGODZINNA ROZMOWA

Już 18 miesięcy siedziałem samotnie w więzieniu celkowym. Czułem się bardzo dobrze, pomijając lekkie zdenerwowanie. Miałem mocne przeświadczenie, że zdołam przesiedzieć drugie tyle bez żadnego szwanku dla zdrowia. Minęło jeszcze kilka dni i nareszcie śledztwo zostało ukończone. Oświadczył mi o tem na badaniu rotmistrz Koniskij, podsuwając jednocześnie do wypełnienia ostatni protokół. Biorę pióro do ręki i piszę: „W poprzednich zeznaniach nic nie mam do zmienienia ani do dodania. A. M.“ Ostatni protokół skończony. Odkładam pióro i zwracam się do żandarma, śledzącego mnie wzrokiem z podełba i z pod okularów:

— Teraz już bezwarunkowo przysługuje mi prawo przebywania razem z innym więźniem.

— Tak, ma pan słuszność. Ale z kim pan chce siedzieć?

— Oczywiście przede wszystkim ze znajomymi towarzyszami, Piłsudskim i Rożnowskim.

— Widzi pan, nasza instrukcja każe nam łączyć ludzi z rozmaitych stanów. Pańskie żądanie przeczy ostatniemu punktowi, a z robotnikiem pan chyba siedzieć nie będzie?

— Dlaczego nie? Przeciwnie!

— A, zgadza się pan. Ale, uważa pan, my na to zgodzić się znowu nie możemy. Obecnie mamy jeszcze niezupełnie zepsutych robotników, gdy posadzimy którego z panem, to w ciągu paru tygodni pan przerobisz go na zdecydowanego rewolucjonistę. Z kimby pana połączyć? Może z bundowcem? — Tu po ustach pana rotmistrza przemknął leciuchny uśmiech.



— Dlaczego nie? Ale najlepiej z Piłsudskim lub Rożnowskim... Tych przecie nie zepsuję.

Przy dźwięku pierwszego nazwiska, powtórnie przezemnie wymówionego, żandarm zrobił kwaśną minę, milcząc spuścił oczy i zaczął pilnie oglądać swe kamasze. Wiedziałem już dawno o ucieczce Piłsudskiego, robiło mi jednak przyjemność drażnić żandarma dźwiękiem jego nazwiska.

— Trudno, bardzo trudno znaleźć dla pana towarzysza. Dobrze, niech pan napisze podanie, za skutek jednak nie ręczę.

Po powrocie do celi zaraz napisałem podanie, lecz sądziłem, że, jeśli będzie miało jaki rezultat, to nie prędko.

W niespełna tydzień po napisaniu podania, o 5-ej po południu uchylają się drzwi mej celi i w nich na tle dwóch żandarmów staje Rożnowski.

Chwilę patrzyliśmy na siebie nieruchomo, następnie uściskaliśmy się serdecznie. Rozstałem się z nim przed 18 przeszło miesiącami na kwadrans przed mojem aresztowaniem, nocy pamiętnej wzięcia drukarni P. P. S. w Łodzi (22 lutego 1900 r.). Od tej chwili byłem zupełnie osamotniony, a że miałem zaledwie kilka widzeń, zaś odmówiwszy zeznań, nie wdawałem się w żadne konwersacje z żandarmami, więc niemal zapomniałem mówić. Ponieważ ciągle dręczyło mnie pytanie, czy to nie ja przypadkiem, z powodu braku ostrożności lub t. p. byłem mimowolną przyczyną tej wielkiej straty dla Partji, jaką było wzięcie drukarni, więc teraz, skoro tylko żandarm drzwi zatrasnął, począłem zasypywać Rożnowskiego niezliczoną ilością zapytań. Rożnowski nie pozostawał mi dłużny i również zasypywał mię pytaniami. Nieraz urywałem w połowie zdania lub nawet wyrazu i przechodziłem do czego innego, co wydawało mi się nieskończenie ważniejszym lub bardziej interesującym.

Zachłystywałem się słuchaniem, a szczególnie mówieniem, jak wodą niedoświadczony pływak. Doznawałem dziwnego wrażenia, podobnego któremu odnaleźć nie mogę. Po półgodzinnej rozmowie czułem ogromne zmęczenie gardła, później nawet pewien ból. Nie przerywaliśmy jednak rozmowy ani na chwilę i wciąż pędziliśmy naprzód, wyrzucając z siebie z zadziwiającą szybkością wrażenia aresztowania i śledztwa, przypuszczenia swe co do sposobu wsypy drukarni, ułamkowe wiadomości ze świata zewnętrznego, przestarzałe nowości polityczne. Myśl i uwaga

nie mogły ześrodkować się na jednym przedmiocie, lecz hasały w nieokiełznanym tańcu po całym obszarze nagromadzonych przez myśli wrażeń i faktów...

Po pięciu, czy sześciu godzinach takiej rozmowy, w której poruszyliśmy setki przedmiotów, zaś żadnego nie wyczerpaliśmy, skonstatowaliśmy obaj, że jeszcze nic, ale to absolutnie nic jeden drugiemu nie zdołał zakomunikować. Postanowiliśmy rozmawiać nadal porządniej i spokojniej.

Jednym z pierwszych tematów rozmowy była, ma się rozumieć, ucieczka Piłsudskiego. Roźnowski przerwał mi w środku słowa i patetycznie wykrzyknął:

— Stój, zakomunikuję ci wiadomość, po której nie upijesz się, bo nie masz czem, ale fikniesz koziołka: Piłsudski uciekł!

Tu Roźnowski skierował na mnie swe ogniste oczy, aby obserwować uważnie, jakie wrażenie sprawi na mnie ta wiadomość. Zawiódł się jednak nieborak, bo wnet odrzuciłem:

— Wiem, wiem...

A znasz szczegóły ucieczki?

— Nie, nie znam, gadaj!

Tu Roźnowski składa figę i zwraca ją w kierunku drzwi.

Zdumiony pobiegłem wzrokiem w tym kierunku i ujrzałem oko żandarma w „judaszu“. Fijołek korytarzowy, zainteresowany żywą naszą rozmową, podsłuchiwał pode drzwiami i raz po raz zaglądał w judaszowe okienko, cichuteńko podnosząc przysłaniającą je klapkę. Gdy ujrzał owoc, który wcale nie wisiał na drzewie, również się zapewne zdumiał i rozżłościł, bo spuścił z hałasem klapkę i zostawił nas w spokoju. Obaj roześmieliśmy się serdecznie. Okazało się, że Roźnowski ten sposób stosował zawsze na zbyt natrętnych korytarzowych aniołów stróżów i zawsze, jak zapewniał, z powodzeniem.

— No, gadaj, jak to było z tą ucieczką. Łamałem sobie głowę nad tem: z X. pawilonu uciec chyba nie sposób. Stworzyłem teorię, że uciekł, gdy go wieźli z Łodzi do Warszawy.

— Właśnie, że nie, uciekł z Petersburga, z pod boku batiuszki cara.

I tu opowiedziałem mu całą ucieczkę. Moje informacje były dobre, bo, jak później przekonałem się na widzeniu, w szczegółach nawet zgadzały się z prawdą. „Karol“ (pseud. Roźnowskiego) oczywiście sprawdzić tego nie mógł, ale wcale nie kwestjonował. A gdy skończyłem, zawołał:

— Zdumiony jestem zdolnością twoją łapania wiadomości z cytadelnianego powietrza i z murów!

Jego wiadomości i domysły co do innych przedmiotów znakomicie dopełniały moje, a nieraz i przewyższały je.

Czas płynął, ściemniło się, a myśmy nie ustawali. Po kilkunastu godzinach zmęczenie zrobiło swoje, rozmowa stawała się mniej żywą. Ponieważ jednak to ja, to „Karol“ przypominaliśmy sobie czy to szczególnie ze śledztwa, czy też wiadomość najświeższą, z trudem zdobytą z murów, o której na wolności zapomniano już od roku, więc pogawędka szła dalej.

O czwartej godzinie w nocy postanawiam zadziwić „Karola“ swemi najświeższymi wiadomościami z polityki:

— A wiesz, prezydenta zabili...

— Skąd ta wiadomość?

— Jeden z sąsiadów zakomunikował mi, ale nie wiedział, jakiego prezydenta, czy Ameryki, czy Francji, czy też Warszawy. Powiedział, że zabito, że zabójca był Polak, ale na dalsze zapytania uparcie milczał, z czego wywnioskowałem, że zabito prezydenta nieobieralnego t. j. Warszawy.

Tu „Karol“ zaczyna się śmiać homerycznie i wkońcu mówi:

— Ot i masz, co warte są twoje domysły: Czołgosz zabił amerykańskiego prezydenta Mac Kinleya, a ty w swej nieprzebranej domysłowości uśmierciłeś prezydenta Warszawy.

Po 4-tej w nocy położyliśmy się do łóżek, lecz rozmowa trwała w dalszym ciągu. Była to najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek w życiu prowadziłem.

Trwała ona prawie bez przerwy od godziny 5 po południu do godziny 11 wieczór dnia następnego, t. j. blisko 30 godzin.

II

ETAPEM Z X. PAWILONU DO SIEDLEC

W progu stanął żandarm i oznajmił: „Panowie dziś wyjadą z Cytadeli“. — „Gdzie jedziemy?“ — „Nie wiem, prikaz przyszedł oddać panów do rozporządzenia oberpolicmajstra — pojedą panowie osobno, rzeczy proszę spakować też oddzielnie“. Spakowaliśmy rzeczy, składające się przeważnie z książek. Najpierw zabrano moje rzeczy, na wszelki wypadek pożegnałem

się z „Karolem“ (Kazimierzem Rożnowskim) i wyszedłem w odpowiednim towarzystwie.

Zwykle formalności w kancelarii trwały krótko; po chwili siedziałem w dorożce w towarzystwie żandarma.

Drogę z Cytadeli do Ratusza dawniej znałem bardzo dobrze, obecnie jednak wszystko wydawało mi się nowem i zajmującym... Ruch dorożki i świeże powietrze działały na mnie podniecająco — nim dojechałem do Ratusza byłem w pół pijany. W kancelarii Ratusza zastałem doktora Diuszato, którego przywieziono z X. pawilonu, niebawem nadjechał też „Karol“.

Atmosfera Ratusza była zupełnie inna niż X. pawilonu. Mile uderzył nas brak fijołów w otaczających czynownikach i policji, przyjemnie było spostrzec mniej sztuczności, właściwej żandarmom „konspiracyjności“. Zaprowadzono nas na najwyższe piętro i umieszczono razem w jednej celi, w korytarzu, gdzie siedzieli polityczni. Pierwszą naszą czynnością było dowiedzenie się o sąsiedztwie. Zaczęliśmy pukać. Okazało się jednak, że Ratusz ma mniej skomplikowany sposób porozumiewania się — mianowicie tunele. Na nasze pukanie usłyszeliśmy głos: chodź do dziury. Obok siedziało kilku robotników, gdy dowiedzieli się o naszych nazwiskach, które ze słyszenia nie były im obce, zaraz zapytali, czy wiemy o ucieczce Piłsudskiego. Odpowiedzieliśmy, że wiemy, ale zażądaliśmy szczegółów. O tej ucieczce krążyło mnóstwo legend. Nasi sąsiedzi oprócz prawdziwego przebiegu ucieczki opowiedzieli nam, co następuje.

Gdy car się dowiedział, że Piłsudski uciekł, przywołał on ministra czy innego nad-szpicla i rzekł: dziesięć lat łapaliście tego ptaszka, nareszcie dostał się w nasze carskie szpony, a wy, jełopy, wypuściliście go — i tu car napluł ministrowi w brodę.

Wrażenie tego dnia mieliśmy wiele, od ich nadmiaru głowy nas rozboleły, ale pomimo to tunel funkcjonował do późna w nocy. Sąsiedzi nasi siedzieli dopiero od paru miesięcy, mogli nam więc zakomunikować wiele wiadomości ze świata.

Na Ratuszu spędziliśmy dwa dni. Cele i korytarze są tu niskie, przepełnienie cel niesłychane, powietrze niemożliwe, a jedzenie tak wstrętne, że mało kto z więźni kryminalnych brał je, — kto nie miał jedzenia własnego, zadawał się zwykle chlebem i herbatą. Spacerów niema wcale. — Wszystko to czyni z Ratusza jedno z najbardziej niezdrowych więzień Warszawy.

I w istocie więźniowie wyglądają tu wprost fatalnie. Ale na razie, oczywiście, cieszyliśmy się dobremi stronami Ratusza, nie zwracając uwagi na złe.

Na drugi dzień mieliśmy widzenie z rodziną, widzenie bez krat.

Podczas widzenia nadbiegł urzędnik z tak zwanego „sekretnego stołu“ wydziału śledczego biura oberpolicmajstra i kazał zastosować do nas wyjątkowe zarządzenia; mianowicie rozkazał, aby od rodzin naszych nie przyjmowano wcale jadła, a po widzeniu dokonać ścisłej osobistej rewizji. Rewirowy, który spełniał to ostatnie polecenie, niezmiernie się dziwił tak nadzwyczajnemu zarządzeniu.

— Czego oni chcą? — mówił. — Co za powód? Czy panowie nie wiedzą?

— Nie, nie wiemy.

— No, to bajki! — rzekł rewirowy, gdy wyciągnąłem z kieszeni czekoladkę. — Zapewne boją się lekarstwa.

— Jakiego lekarstwa?

— No, takiego, co się dobrze śpi po jego wypiciu.

— My na bezsenność nie cierpimy.

— Niby to panowie nie wiedzą, lekarstwo nie dla panów, a dla rewirowych w nocy dyżurujących.

Ponieważ lekarstwa nie znaleziono przy nas, rewirowy odszedł uspokojony.

Na trzeci dzień po przyjeździe z X. pawilonu odwieziono nas trzech, mnie, Rożnowskiego i Duszato w żelaznej karecie na Zbornik na Pradze.

Osadzono nas w szpitalu, w którym podówczas chorych nie było. Wkrótce przyprawiono 12 innych towarzyszy, przywiezionych również z Ratusza. Tu dowiedzieliśmy się, że mamy wędrować etapem do Siedlec. Etapowy pociąg odchodził o 12-tej w nocy. O tej godzinie mieliśmy wyruszyć na dworzec Terespolski wraz z całą partją kryminalnych liczącą przeszło 240 osób. Etap szedł do Moskwy, po drodze zostawiał część więźniów, zabierał nowych i t. p. Około godziny 6-tej wieczorem wyprowadzono nas na dziedziniec, gdzie komenda etapowa przyjmowała więźniów od władz Zbornika. Czynność ta trwała nadzwyczaj długo i przez cały jej czas więźniowie musieli stać na podwórzu w mroźny wieczór listopadowy. Oddalić się nie wolno było ani na chwilę.

Kto musiał spełnić naturalną powinność, kazali załatwiać się tam, gdzie stał, wśród tłumu.

Przyjmowanie odbywało się najpierw pojedynczo podług papierów. — Jak nazwisko? — pytał gburowato żołdak więźnia, trzymając odnośne papiery przed sobą. — Gdzie idziesz? — Tu trzeba było wymienić miejscowość (Siedlce, katorga Nerczyńska, Wschodnia Syberja, Irkuck i t. d.). Gdy odpowiedzi więźnia zgadzały się z papierami, dokonywano przy nim osobistej rewizji, przetrząsając brutalnie kieszenie.

O czytaniu papierów, znalezionych przy rewizji, mowy nawet nie było, zresztą panowie rewizorowie może nawet i czytać nie umieją po rosyjsku, a po polsku na pewno. Chodziło o broń, a że tej żaden z więźni mieć nie mógł, polowano głównie na zapalki, które w istocie w wielkiej ilości odebrano.

Następnie ustawiono wszystkich więźniów dziesiątkami w szeregi i zaczęto liczyć.

Mało inteligentni żołnierze etapowi wciąż się mylili i zaczęli od początku, nareszcie doszli do tej perfekcji, że parę razy liczba szeregów wypadła jedna i tasama. Wtedy zaczęli sprawdzać ilość więźniów oficerowie, którzy jednak nie okazali w trudnej sztuce liczenia większej wprawy od swych podwładnych.

O 10-tej godzinie otworzono bramę Zbornika i kazano wychodzić więźniom czwórkami. W bramie dwóch oficerów jeszcze raz sprawdzało liczbę szeregów. Więźniowie wychodzili na ulicę, na której ruch był wstrzymany, natomiast został utworzony podwójny kordon żołnierzy. Pierwszy kordon tworzyli etapowi z rewolwerami u boku i gołemi pałaszami w dłoniach, drugi zaś zwykli żołnierze z nabitymi karabinami. Gdy więźniowie wyszli, kordon zamknął się, wpuściwszy przedtem do środka trzy karety z więźniami politycznymi, które w tym czasie nadjechały z Pawiaka. Nareszcie orszak ruszył. Posuwaliśmy się zwolna przy dźwięku kajdan. Przodem szła policja i usuwała nielicznych przechodniów.

Gdy dotarliśmy do dworca, wprowadzono nas na peron i poczęto napychać w wagony. Mówię, napychać, bo ilość zakratowanych wagonów była w tym pociągu niedostateczna, ugniatali nas przeto jak śledzie w beczce. Nareszcie wagon napełniono, przy drzwiach stoją żołdacy z pałaszami, trzeci spaceruje wzdłuż wagonu. Jest to nasza stała straż podczas podróży.

W wagonach, pomimo, że były nieopalane, zrobiło się wkrótce nieznośnie gorąco; powietrze było duszne i przesiąknięte wyziewami. Przez okno okratowane dojrzeliliśmy nasze rodziny.

Przymusowi pasażerowie chcieli oczywiście palić, straż nie broniła, przeciwnie, ułatwiała tę czynność, sprzedając zapalki uprzednio na Zborniku odebrane. Za pudełko zapalek brali 5 kop., ale kto nie miał odpowiedniej monety i dał 10 czy nawet 15, żołdak spokojnie chował do kieszeni i upewniał, że reszty nie ma. Wogóle w czasie 4-godzinnej podróży etapowej z Warszawy do Siedlec przekonałem się o prawdziwości zdania rosyjskiego o etapowych żołnierzach i kryminalistach, które brzmi: „nie wiadomo, kto gorszy, czy ci, których prowadzą, czy ci, którzy prowadzą“.

Dla nas etapowi byli dość grzeczni, bo brali łapówki za dostarczone nam jado i papierosy i od nas i od rodziny, upewniając nas, że od rodziny nic nie dostali, a rodzinę — że my nic dać nie możemy, bo nic nie mamy. Grzeczność ta była tylko wpływem brzęczącego argumentu, a nie tej okoliczności, że byliśmy politycznymi, gdyż za takowych nas nie uważali.

„Wy, panowie, jesteście coś w rodzaju politycznych, nastójście polityczni jada w osobnym wagonie i przyjechali z Pawiaka w karetach, oni mają inne papiery i fotografie, a wy takowych nie posiadacie“.

Narazie nie mogliśmy tego zrozumieć. Potem dopiero dowiedzieliśmy się, że istnieje przepis, aby przy papierach politycznych, gdy ich wiozą, były fotografie, i bez tych fotografii etapowi nie powinni przyjmować politycznych.

Żandarmi posiadali coprawda nasze fotografie, ale ich władzom więziennym Ratusza nie dostarczyli. Fotografowanie nas w Ratuszu zająć musiało co najmniej kilka dni, a etap w kierunku Moskwy idzie raz na dwa tygodnie.

Wobec przepelnienia więzień warszawskich i wobec zamierzonego nowego połowu chciano nas koniecznie tym właśnie etapem usunąć z Warszawy. Aby jednak uniknąć nieprzyjęcia nas przez etap — co miało właśnie miejsce przed dwoma tygodniami — z wiezionymi obecnie w osobnym wagonie, władze więzienne Ratusza użyły fortelu. Dano nam t. zw. „otkrytyje listy“ t. j. blankiety używane tylko dla złodziei, wypisawszy tylko w rubryce „za co uwięziono“: za sprawki polityczne.

Fortel się udał, gdyż etapowi klasyfikują zwykle więźni podług formy blankietów. W wagonie podoficer przesylabizował odpowiednią rubrykę, umysł jego jednak nienawykły do krytyki „naczalstwa“ uznał, że tak i „sledujet“ i zaliczył nas do kategorii przestępców pośrednich między złodziejami, a politycznymi: „wy tolko w rodie toho czto politiczeskije“.

O godzinie czwartej w nocy stanęliśmy w Siedlcach. Oczekiwał nas tu oficer konwojowy z odpowiednią ilością żołnierzy czarno-epoletowych i zwykłych, aby odprowadzić nas z dworca do więzienia. Było nas niezwykle wielu politycznych: blisko 50-ciu na ogólną ilość 60 paru. Etapowi twierdzili, że tak wielkiego etapu politycznych nie mieli nigdy. Skoro tylko pociąg stanął, kazano nam wysiąść i ustawiono politycznych z osobnego wagonu i ogólnego, jak również i kryminalistów, wszystkich bez różnicy w szeregi czwórkami.

Tworzyliśmy małą wydłużoną kolumnę, otoczoną podwójnym kordonem. Pierwszy kordon tworzyli etapowi z rewolwerami i gołymi pałaszami, drugi żołnierze armji z karabinami.

Noc była mroźna, bezksiężycowa, gwiazdzista. Pierwszy raz od 19 miesięcy widziałem tak piękną noc. Poddałem się jej czarowi, pomimo bólu głowy i niezwykłego otoczenia — wpadłem w lekką zadumę.

Raptem wyłania się z ciemności oficer etapowy z nahajką w rękę. „Konwoj!“ wykrzyknął, „w razie najmniejszego oporu aresztowanych użyć natychmiast chłodnej broni, gdyby opór trwał dalej, bez rozkazu „strielat’!“

Ruszyliśmy w stronę więzienia.

III

KWESTJA UNICKA W WIEZIENIU SIEDLECKIEM

Wieżenie siedleckie, w którym byłem zamknięty przez blisko siedm miesięcy, stanowi, jak zresztą każde inne, cały świat w minjaturze. Siedzieli tu włościanie, szlachta, mieszczanie, robotnicy, inteligencja, żydzi, chrześcijanie, oficerowie i żołnierze, polityczni i kryminaliści.

Ponieważ w skład gubernji siedleckiej wchodzi unickie Pod-

lasie, więc w więzieniu wśród więźni i strażników jest sporo unitów. Razem z unitami wkroczyła w mury więzienne i kwestja unicka.

Czynną siłę polityki prawosławno-rusyfikacyjno-antyunickiej stanowił naczelnik więzienia — niejaki Popow. Był to typ starego urzędnika-łapownika, pozbawionego wszelkiej ambicji, indywidualum nadzwyczaj marne. Dla charakterystyki tego pana wystarczy parę drobnych następujących faktów:

Podczas spaceru na podwórzu spostrzeżliśmy Popowa. Żądamy czegoś od niego. Naczelnik przyrzeka, ale my żądamy gwarancji, jeden z towarzyszy mówi:

— Panu wierzyć nie można, pan nigdy słowa nie dotrzymuje.

— To panowie słowa nie dotrzymujecie, ja zaś — co powiem, to święte.

— Wolne żarty, panie naczelniku. Przedwczoraj pan przyobiecaneś to i to i nie wykonaeś — my nazywamy to łgarstwem; w zeszły wtorek również najbezczelniej pan zełgaeś przed tow. K., a w sprawie X. czynów pańskich w zestawieniu ze słowami inaczej nazwać nie można, jak trzeciem łgarstwem.

Tu naczelnik zaczyna się kręcić, lecz na twarzy jego nie widać wcale obrazy, nawet gniewu. Towarzysz ciągnie swą litanję dalej, to niecierpliwı p. naczelnika, zaczyna więc machać rękami i powtarza:

— Kak wam nie grieszno! — i ucieka do swej kancelarji.

W pewnej rozmowie z tow. M. naczelnik odwołał się do autorytetu prokuratora. M. był zirytowany i krótko odparł:

— Plewat' mnie na prokuratora!

Mózg p. naczelnika tak był przesiąknięty „czynopoczitanjem“, że nie chciał wierzyć własnym uszom:

— Jak to, na prokuratora pan plujesz?

— Pluję — brzmiała odpowiedź.

— Zmiłuj się pan, jak można na wyższych ludzi pluć?..

Popow był dawniej sprawnikiem na Litwie. Tam miał nie-szczęście narazić się hr. Tyszkiewiczowi i ten przez swe wpływy usunął go z posady. Od tego czasu datuje się nienawiść Popowa do polskości i katolicyzmu.

Gdy został naczelnikiem więzienia siedleckiego, usunął pra-

wie wszystkich strażników Polaków i zaczął wśród złodziei tropić „polską intrygę“.

Więzienie siedleckie składa się z dwóch gmachów, w każdym gmachu była prawosławna kaplica. W celu uświetnienia nabożeństwa — sam naczelnik spełniał funkcje śpiewaka w cerkwi. Kto ze złodziei miał głos i zgodził się śpiewać w czasie nabożeństwa, dostawał rozmaite ulgi w postaci pozwolenia noszenia własnego ubrania, machorki lub paru funtów cukru.

Jednak na nabożeństwach było bardzo mało wiernych, wskutek bojkotu złodziei unitów. Naczelnik takiego „bezporiadka“ nie mógł znieść.

Począł więc stosować rozmaite szykany do „uporstwujuszcych“ nawet w murach więziennych unitów. Pozbawiał widzeń, nie przyjmował „podajaniń“ od rodziny, stosował ściśle przepisy, goląc np. co tydzień pół głowy i brody skazanych na katorgę, nie pozwalając nosić własnego ubrania i t. p. System kar nie wydawał jednak należytych skutków. Naczelnik chwycił się przeto systemu nagród. Ogłosił mianowicie, że każdy więzień, jeśli będzie chodził na nabożeństwa, czy to katolik, czy to unita, dostanie t. zw. „wypiskę“ darmo, t. j. raz na dwa tygodnie funt cukru i szczyptę herbaty.

Ten system podziałał zdaje się bardziej na katolików niż na unitów. Nie należy przypuszczać, że koszty tej niezbyt drogiej propagandy prawosławia pokrywał naczelnik z własnej kieszeni. Istnieje rosyjskie przysłowie: „Pszczółka bierze łąpóweczkę z każdego kwiatuszka“. Otóż nasz naczelnik brał łąpóweczkę z każdej „wypiski“. Z tego źródła pokrywał koszta propagandy i wybudował kamieniczkę w Warszawie.

Przypadek zrządził, że w temże więzieniu siedleckim miałem sposobność zapoznać się ze sprawą unicką z innej strony.

Wkrótce po moim przyjeździe do Siedlec zjawił się w „bezpłatnym hotelu rządowym“ niejaki Władysław B., syn obywatela ziemskiego. Był to chłopak młody, zaledwie 23 lat liczący. Wykształceniem się nie odznaczał, choć miał dość żywy umysł i zdradzał pewne zdolności poetyckie. Pierwszą klasę gimnazjum siedleckiego opuścił z powodu choroby, miał podobno jakąś gnijącą kość w nodze i, mając lat 12, miał jakoby ważyć tylko 20 funtów. Operacji wyjęcia zepsutej kości dokonał prof. Kosiński; powiodła się znakomicie, pomimo że Kosiński przed ope-

racją nie rokował żadnej nadziei. Matka objaśniła to powodzenie tem, że przed operacją „ofiarowała go do Częstochowy“. Późniejsze opowiadania o tym rzekomym cudzie były pierwszą pobudką, która pchnęła B. na drogę dewocji, wałęsania się po kościołach, odpustach i pielgrzymkach. Drugą pobudką był wpływ obywatelki z sąsiedztwa — wdowy po pułkowniku, otoczonej aureolą pobytu na Syberji.

Zatargi z policją zaczął miewać B. od 18 roku życia z powodu stosunków z unitami. Aresztowano go po raz pierwszy za to, że nie miał paszportu. Naczelnik straży ziemskiej zwrócił uwagę na znaną przy nim książkę do nabożeństwa z wytartą cenzurą i wpisana w nią modlitwą za Polskę i Kościół, przesładowany przez Moskali. Po tygodniu aresztu w Janowie wypuszczono B. na wolność i żadnej z powodu tego sprawy nie wszczęto. Od tego czasu policja miała go jednak na oku.

Wskutek dziwnego, jak na syna obywatelskiego, trybu życia B., wśród okolicznej ludności poczęły obiegać pogłoski, że B. jest niespełna rozumu. Ta okoliczność zapewne była powodem, że władze poddały B. obserwacji lekarskiej i uznały go za warjata, w celu skrępowania B. tą drogą, gdyż dowodów jego przeciwrządowej działalności nie mogły pochwycić, zaś tryb jego życia kazał im takiej działalności domyślać się. Opierając się na orzeczeniu komisji lekarskiej, naczelnik straży ziemskiej polecił ojcu nie wypuszczać syna z domu. Młody B. nie zmienił jednak trybu życia. Ilekroć został zauważony w Białej, pakowano go na odwach, wypuszczając dopiero za zgłoszeniem się ojca lub matki. W końcu 1900 roku aresztowano B. pod Częstochową, gdy docierał do kresu jednej z wielu swoich pielgrzymek. Jako nieposiadającego paszportu odstawiono go etapem do Białej, przyczem — rzecz charakterystyczna — podróż trwała z Częstochowy do Białej trzy tygodnie czasu.

W Białej oddano B. do szpitala w celu powtórnego zbadania B. co do stanu jego umysłu. Po trzech tygodniach pobytu w szpitalu B. zdołał zmylić czujność straży i zbiegł. Tu zaczęła się najbardziej romantyczna część jego życia. Jakiś czas tułał się w kraju, następnie przeszedł tajnie kordon i udał się na pielgrzymkę za granicę. Odwiedził Lwów, Kraków, modlił się w Lorecie, Asyżu, odwiedził również Rzym i oglądał papieża. Z Włoch powrócił do kraju i tu jakiś czas ukrywał się przed

policją. Na jesieni 1901 r. udał się do Studzienny (pow. opoczyński), słynnej z cudownego obrazu Matki Boskiej. W tym czasie przebywał w niedalekiej Spale car, policja weszła na wszystkie strony i wzmożona jej czujność była zapewne przyczyną aresztowania B., jako nieposiadającego paszportu. B. podał się za kogo innego, mając nadzieję, że ktoś ze znajomych zaręczy i w taki sposób uwolni go z więzienia, gdy jednak nikt ze znajomych się nie znalazł, przyznał się do nazwiska i po dwutygodniowym pobycie w areszcie w Opcznie został odstawiony etapem do Białej. Tu został uznany za politycznego przestępcę. Badał go żandarm, potem naczelnik straży ziemskiej i znów żandarm. Naczelnik straży ziemskiej pokazał B. list, pisany z Krakowa do Franciszka R. (łacinnika) w Studziance (pow. biały). Ten list przejął wójt i wręczył go popowi w Łomazach. Ten zaś doręczył go naczelnikowi w Białej. Tytuł tego listu był taki: „Kochani bracia w Chrystusie ze wsi Studzianki, Lubenki, Ortela, Dokudowa i miasteczka Łomazy“. Ponieważ w tych wioskach jest dużo unitów (z Łomaz przed kilkunastu laty wywieziono 300 unitów do chersońskiej i orenburskiej gubernji, sporo też było wysłanych z Lubeńki i Studzianki, a w Dokudowie i w Ortelu wielu przestało chodzić do cerkwi od czasu spisu jednodniowego, co nastąpiło również i w innych miejscowościach Podlasia i w kilku wioskach za Bugiem), więc naczelnik straży ziemskiej we wspomnianym liście widział dowód propagandy łacińskiej wśród unitów.

Żandarm przytaczał B. i inne dowody jego łacińskiej propagandy. Twierdził on, że pewna Anna Str. po rozmowie z nim przestała chodzić do cerkwi i śpiewać, następnie zaś wyszła zamąż „po krakowsku“, że namawiał, aby unicy nie chodzili do cerkwi, natomiast zapisywali się do „Różańca Żywego“. Żandarm żądał, aby B. wymienił nazwiska zelatorów kółek różańcowych, gdyż w tych kółkach czytują książkę zabronioną pod tytułem „Parafia bez pasterza“.

Po ośmiu miesiącach więzienia śledczego B. został wydalony na trzy lata z granic Królestwa za „przeciwrządową działalność wśród unitów“.

IV MOJA UCIECZKA

Gdy byłem jeszcze w X. pawilonie, matka robiła usilne starania, aby dopuszczono do mnie lekarza z miasta. Żandarmi się jednak na to nie zgadzali. Dopiero gdy sprawa przeszła do prokuratora, ten rozkazał dopuścić doktora. Zjawił się Sokołowski (specjalista chorób piersiowych), zbadał i napisał oficjalny protokół, który cytadela odesłała do zarządu, a ten do Petersburga, bo już nasza sprawa tam się znajdowała. Było to na początku listopada.

Matka chciała na podstawie tego świadectwa, którego jednak w rękę nie miała, podać prośbę, aby mię zwolniono za kaucją. Wyperswadowałem jednak matce, aby prośby nie podawała. Przypuszczam, iż departament policji sądził, że żandarmi warszawscy aprobują treść świadectwa lekarskiego, skoro je sami nadesłali bez niczyjego podania, i dlatego zaproponował mi na początku marca wyjechać dobrowolnie etapem lub na własny koszt z konwojem.

Oczywiście zgodziłem się wyjechać na własny koszt.

Rożnowski, po propozycji, jaką odebrałem z Departamentu, wystarał się o świadectwo lekarskie i wniósł podanie, aby mu również pozwolono jechać na własny koszt, jednak Departament odmówił. Ta okoliczność potwierdziła moją kombinację.

Ponieważ bardzo długo mię nie wysyłano, więc pisałem kilkakrotnie do Departamentu, upominając się o wykonanie jego własnej propozycji, ale odpowiedzi nie otrzymałem żadnej.

Na początku kwietnia otrzymaliśmy wraz z Rożnowskim wyrok nieoficjalnie, w połowie maja otrzymał tylko Rożnowski wyrok oficjalny i 4 czerwca wyjechał etapem. Byłem pewny, że wstrzymano mi wyrok oficjalny z powodu nowej sprawy i że lada dzień przeniosą mię z powrotem do X. pawilonu. Tymczasem matka wysłała depezę do Departamentu, upominając się, aby mnie wysłano. W końcu czerwca otrzymałem wyrok oficjalny, w którym powiedziano: „wysłać bliższym etapom“. W parę dni zawiadomiono z siedleckiego zarządu gub., że mogę jechać, jeśli chcę, na własny koszt. Na dwa dni przed wyjazdem zjawił się oficer (podpułkownik) siedleckiego zarządu żandarmerji z podoficerem. Wykonali oni w mej celi ścisłą rewizję, po-

deszwy od długich butów poodrywali, znaleźli jednak tylko 13 rubli i 7 Nr. „Przedświtu“ z r. 1901, Nr. 2 z r. 1902 i Nr. 12 „Pochodni“.

Gdy wyszedłem z mojej celi wraz z żandarmem i naczelnikiem, aby udać się do kancelarii więziennej dla spisania protokołu, więźniowie polityczni, których cele były przez cały czas otwarte, zebrali się i urządzili kocią muzykę żandarmom: gwizdali i krzyczeli: „podlecy“.

W kancelarii, po skończonym protokole, gdy miałem wychodzić z żandarmerji, oficer wyciągnął do mnie łapę na pożegnanie, ale ja powiedziałem: „ruki żandarmam iz principa nie podaju“.

Myślałem, że z powodu znalezionej bibuły wstrzymają mię, ale stało się inaczej.

Dnia 8 lipca odesłano mię do policmajstra, ten zaś odstawił mię tego samego dnia na kolej z jednym strażnikiem (stójkowym), który miał mnie „zdać“ gubernatorowi moskiewskiemu. Nie odebrano ode mnie pieniędzy, nie wzięto nawet pieniędzy na opłatę strażnika, sam więc kupiłem bilet sobie i jemu. Sobie do Irkucka, jemu zaś tylko do Brześcia, bo chciał się „szwarcować“. Tym samym pociągiem wyjechał z Warszawy „Paweł“ (Stanisław Pękosławski), aby jechać ze mną. W Brześciu o 12-iej w nocy wysiadłem, aby co zjeść. Za mną szedł bezpośrednio strażnik, za nim zaś „Paweł“. Mnie i „Pawła“ oczywiście portjer przepuścił, strażnikowi zaś powiedział: „stupaj w tretij klas“. Usiedliśmy przy stole, wypiliśmy, porozumieliśmy się, gdy narazie wpuszczono strażnika, który chodził po sali i rozglądał się. Wtedy ja sam go odszukałem, zapytałem, gdzie się podziawał, posłałem go następnie, aby przeniósł rzeczy do innego wagonu, bo wsiałem umyślnie do wagonu jadącego na Briańsk. Strażnik poszedł spełnić moje polecenie, myśmy zaś porozumiewali się w dalszym ciągu. Otrzymałem od „Pawła“ paszport i dwie butelki: w jednej była zwykła wódka, w drugiej z chloroformem. Można było „drapać“ z Brześcia, ale postanowiliśmy odłożyć to do Mińska, gdzie pociąg miał przyjść o 8^{1/2} z rana.

Gdy pociąg ruszył, wypiliśmy ze strażnikiem z pierwszej buteleczki, zjedliśmy i popiliśmy herbatą, zaparzoną w czajniku (po wrzątek chodził strażnik). Moje zachowanie się w Brześciu uspiło zupełnie jego czujność. Nie było więc potrzeby dawania mu do picia drugiej buteleczki; ale miał on za wyłogiem rękawa „sta-

tejnym spiski“, dwie moje fotografie, świadectwo, kim jest i pakiet do gubernatora moskiewskiego. Wszystkie te dokumenta miałem ochotę buchnąć. W tym celu na trzy kwadransy przed przyjsciem pociągu do Mińska dałem mu do wypicia „trefną“ wódkę. Ale wyobraźcie sobie moje zdziwienie: wypił jucha wszystko i nic! Gdy pociąg stanął, zasypałem herbatę i posłałem po wodę. Po chwili ja również wyszedłem i w towarzystwie „Pawła“ udałem się na miasto do mieszkania Rewerellich, gdzie przesiedziałem pięć dni, bo „Paweł“ nie znał przepraw granicznych. On wrócił do Warszawy i zawiadomił Partję o fakcie. Siedziałem przez pięć dni jak mysz pod miotłą: nie wychodziłem wcale na miasto. Nareszcie zjawił się „Jerzy“ (Adam Bujno). Ufarbowałem na czarno włosy, ogoliłem brodę, podstrzygłem i podwinąłem à la Wilhelm wąsy i wyruszyłem z nim w drogę. Dorożką dojechalśmy do następnej stacji, ja w czapce urzędniczej. Ale źle nas poinformowano. Pokazało się, że nikt dorożką do tej stacji nie jeździ z miasta. Ta okoliczność czy inna wzbudziła jakieś podejrzenie u dorożkarza. Zachowywał się arcydziwnie, zaczął nam opowiadać, jak w czasie powstania woził uczniów do lasu, jak za to otrzymywał baty, że mu nic do tego, kto, gdzie i poco jeździ, że jest dorożkarzem, że wiezie tam, gdzie każą, choćby do samego piekła, przytem twierdził, że my pojedziemy pociągiem w dalszym ciągu, choć mówiliśmy, że jedziemy do jakiegoś obywatelstwa.

Niedaleko od Fanipola wstąpiliśmy do karczemki, aby coś zjeść. Gdy tam siedzieliśmy, nadjechała fura od Fanipola ze żydkami, którzy wydali się nam podejrzanymi. Gdy dojechalśmy wreszcie do Fanipola o godzinie 12-tej w nocy, okazało się, że wszystkie pociągi już odeszły. Stacja zupełnie głucha, naokoło ani żywej duszy... Dorożkarz sam zatrzymał się nieopodal stacji, a nie przed samym budynkiem stacyjnym. Zaczął dowodzić, że jest chrześcijaninem i życzył szczęśliwej podróży. Wobec niewyraźnej sytuacji zdecydowaliśmy się nie iść na stację, lecz machnąć się piechotą torem. Przez nikogo niewidziani dostaliśmy się na tor i doszliśmy torem i szosą, która szła wzdłuż niego, do stacji Stołpce, odległej od Fanipola o 60 wiorst. Tam wsiadłem do wagonu, nie wstępując na stację, bilety kupiłem „Jerzy“. Pociąg był pośpieszny, nie potrzebowałem się więc w Brześciu przesiadać. Bilety mieliśmy wykupione do Warszawy, ale

wysiedliśmy w Nowomińsku. Do Warszawy dojechaliśmy końmi i spóźnił się o 12 godzin. Przyjechaliśmy, zamiast wieczorem, rano następnego dnia i dlatego nikogo nie mogliśmy zastać w domu. Włączyłem się więc cały dzień po Warszawie i oglądałem chmary szpicli, którymi Warszawa w tak potworny sposób była zalana, jak nigdy za moich czasów. Spotykałem nawet znajomych szpicli. Wydało mi się nawet, że mię szpiegują, przejechaliśmy się więc na gumach do Alei, aby szpiclów zgubić, ale zdaje się, że to była tylko fantazja nasza.

Wyjechałem z Warszawy kurjerem wiedeńskim w nocy, ale wsiadłem do pociągu w pewien specjalny sposób, nie pokazując się wcale na dworcu. Dopiero od Skierniewic jechaliśmy jak zwykli ludzie.

W Zagłębiu przeszliśmy granicę przez „zieloną komorę“ bez pomocy kontrabandzistów w nadzwyczaj prosty a zarazem dowcipny sposób.

V

LIST Z CYTADELI WARSZAWSKIEJ

12. I. 1907

Jestem od tygodnia w szpitalu. Proszę jednak nie wysnuwać z tego faktu żadnych wniosków natury minorowej. Szpital ten jest przeznaczony specjalnie dla więźniów z fortów i frontów i mieści się również w podziemnych kazamatach. Bezwzględnie biorąc, urąga on wszelkim wymogom szpitalnictwa. Względnie zaś do fortów wydaje się istnym rajem.

W ciągu pierwszej doby odczuwałem przyjemność przy najzwyklejszym siedzeniu na łóżku lub stołku, przy siedzeniu swobodnym, nie będąc co chwila z konieczności przez kogokolwiek ze współwięźniów potrącanym.

I ludzie skarżą się jeszcze na brak przyjemności w życiu. Skarżą się, pomimo tego, że można z najprostszej rzeczy wyciągnąć rozkosz.

Trzeba tylko udać się na naukę do dobroczynnego rządu naszego, nazywanego pospolicie barbarzyńskim.

Ale powracam do opisu. Szpital składa się z 5 kazamat sklepionych, połączonych przejściami sklepieniami w bocznych ścianach.

Pierwsza kazamata zajęta jest przez wartę żołnierską. W przejściu stoi krata drewniana. W innych kazamatkach mieści się 40 chorych, a zatem po 10 na każdą. Co za obfitość przestrzeni! Przekonałem się, że, przynajmniej dla mnie, nie jest najprzykřejszem samotne siedzenie, ale przeciwnie życie w tłumie. Są tu łóżka, sienniki, pościel (mam swoją), świece, obfitość względna światła i powietrza. Publiczność też zachowuje się o wiele kulturalniej. Niema tu kłótni, wynikającej z ciasnoty, kurzu ze słomy i gier fizycznych, o których mnogości nie miałem pojęcia. Najbardziej rozpowszechnione z nich to paczetucha, cymbergały, lij, szewc, ciuciubabka z pytką, bąk. Natomiast nie mamy ciągłej łączności z żołnierzami, nie jest się ciągle na oku, co bywa przykrem zwykle, a czasami się stawało nieznośnem, gdy żołnierz był zły z natury lub podbechtany przez oficera. Spacer mamy codziennie. Wyjść na podwórze można na każde żądanie, czy to w dzień czy w nocy. Cuchnących kubłów niema wcale; czy to nie raj?...

O wieści ze świata, a przynajmniej z rozmaitych fortów o wiele łatwiej, bo ciągle jest cyrkulacja chorych między szpitalem a fortami i frontami. Jedna strona jest przykra. Trudno, niema nieba bez chmur. Tą chmurą jest doktor, zjawiający się zwykle o godzinie 11-tej zrana.

Leczyć prawie nie leczy, bo nie ma, prawdę mówiąc, możności po temu, chyba ciężko chorych, pozatem, z wyjątkiem ciężko chorych, uważa wszystkich za symulantów, którzy przyszli „otdochnut“. Nie ma on przeciwko temu nic, ale wobec olbrzymiego natłoku kandydatów wciąż ma pęd do „wypisywania“.

Ponieważ prawie nigdy nie bada, więc czy kto zdrow czy chory, ale nie obłożnie, musi symulować, bo inaczej zostanie wypisany. Gdy którego dnia doktor nie przyjdzie, mówi się u nas, że dał na ten dzień amnestję.

Wałówkę tak zw. czy to w fortach czy w szpitalu przyjmują dwa razy tygodniowo: we wtorek i w piątek. Rewidują te wałówki żandarmi w sposób wprost bezczelny, szukając głównie „grypsów“ i pieniędzy.

Krają rączki od koszyków, rozsuwają miękką ich plecionkę, prują niekiedy bieliznę. Chleb tną, bułki łamią, wszystko masakrują, rąbią nawet niekiedy większe kawałki cukru. I powodzi się. Pieniądze znajdują i chowają do własnej kieszeni, choć niby

oficjalnie oddają na „Czerwony krzyż“. Oprócz tego kradną niekiedy i rzeczy.

Forty są areną tragicznych i komicznych wydarzeń. W niektórych fortach jest na warcie oficer, w innych niema. Nazywa się to oficerskij albo unteroficerskij karauł. Widocznie dużo ostatnimi czasami aresztują, bo dziś wysyłają z Modlina 150 więźniów, zaś do Brześcia Litewskiego 100. Przed kilku dniami ogłoszono nam, że Ochraņa wypuściła nas ze swej pieczy. Siedzimy obecnie pod „żandarmami“ i „pod gen. Skalõnem“ jednocześnie. Ta jednoczesność sprawia, że przy idealnym obrocie sprawy będziemy siedzieć co najmniej dwa miesiące. Adresować można do mnie: Gorodskoj hospital pry czetwiortom bastionie, Cytadel Sztab. Listy oddają podobno, ale z tej drogi mało kto korzysta. Dowiedzieć się napewno nie można. Jeśli mnie wypuszczą ze szpitala, to będę w „czetwiortom frontie“. Na brak rozmaitości narzekać nie mogę. Jestem i w więzieniu waga-bundą.

VI

Z LISTU Z LUTEGO 1907 R.

Sądzicie może, że cierpię, tu siedząc? Bynajmniej. Niewygody życiowe nie robią na mnie wrażenia. Miałem ich dość i przedtem. Tylko przedtem w czasie największego zmęczenia i drobnych niewygód trzeba było niekiedy naprężyć swą wolę i energję. To napięcie energii z biegiem czasu osiągało się z coraz większym trudem, było zatem przykre. Jeszcze dawniej ujście energii było przyjemnem, lecz w miarę zmęczenia życiowego stawało się, powtarzam, przykrem. To nic podobnego niema. Spokój, życie wegetacyjne, ale zato nuda, nuda. To słowo przygniata wszystko, wszystko tu jest pomalowane na kolor szary. Tę szarzyznę czasami tylko przerywa komizm lub tragizm. Przed kilku tygodniami n. p. W kazamacie płonie u sufitu lampka i słabo oświetla ponure sklepienie. Na jednym z łózek leży młodzieniec lat 19 może. Przed półrokiem jeszcze silny, zdrów i przystojny. Postrzelono go w płuca, przy jakiejś potrzebie rewolucyjnej, kula karabinowa przeszła go na wylot. Licho go następnie leczono, ledwie przyszedł do względnego zdrowia,

rzucono go do wilgotnych kazamat. Rana się otworzyła i obecnie bucha krew mu ustami i nosem. Stoję przy jego łóżku, pomagam tamować krew i smętnie dumam o losach tego żołnierza rewolucji, umierającego w niewoli i opuszczeniu. Z tej zadumy wyrывa mnie śpiew „Krew naszą długo...” Przed chwilą przyszedł rozkaz wypuszczenia na wolność czterech malców (od 10—12 lat) osadzonych za kolporterkę pism. Mróz tęgi na dworze, nie mają ciepłej odzieży. Zebrano dla nich trochę łąchów, jeden dał szalik, inny czapkę, inny pelerynę zakopiańską i odziano ich jako tako. Zebrano również dla nich kilkadziesiąt kopiejek na dorożkę. Teraz odprowadzają ich do „karaulnawo pomieszczenia” (kordygarda), żegnając ich zwykłą pieśnią. Malcy są dumni z takiego pożegnania. Jeden z nich rezolutnym ruchem ręki zdejmując z głowy czapkę i donośnym głosem woła „Niech żyje rewolucja!”, pomimo iż najczęściej w podobnych wypadkach wznoszą okrzyk „Niech żyje wolność!”. Marsz nasz poprzez trzech kazamat trwa chwilę. Otwierają drzwi w kracie i malców otaczają olbrzymi gwardziści wołyńce. Spoglądają oni z uśmiechem na tych „też żołnierzy rewolucji”, notabene żołnierzy dobrze zasłużonych. Odchodzimy od kraty. Po chwili wchodzi z kartką w rękę podoficer naczelnik warty. Oświadcza on, że trzeba Machnickiego przenieść do pobliskiego szpitala wojskowego. Sześciu zdrowszych bierze łóżko z broczącym krwią bojowcem (zapewne) na raniona i wychodzimy ze szpitala otoczeni wołyńcami. Jednemu z nich postępującemu koło mnie opowiadam historję niesionego. Olbrzym wołyńiec uciera ukradkiem łzy. „Sami my swoich braci mordujemy, umiera on przecież od naszej żołnierskiej kuli”.

Bywają i inne efekty. Przed dziesięciu dniami, gdy byłem jeszcze w czwartym froncie, wyszliśmy do tak zwanego wiatru na podwórze. W mroźnej ciszy cytadelnianej rozlega się raptem mocny chóralny śpiew marsyljanki po rosyjsku „Wstawaj, podymajsia, raboczij narod”. Śpiewających nie widać. Powszechne zdziwienie. Ktoby to mógł śpiewać? „To śpiewają więźniowie” rzuca jeden. „Skąd by? — nie może być, śpiew idzie przecie od X. pawilonu” robi uwagę inny. „Może śpiewają rekruci”. Podczas tych domysłów wyłania się duża grupa więźniów żołnierzy (około 25) otoczona silnym konwojem, naokoło sterczą bagnety. Ujrzeni nas, machają nam czapkami.

Odpowiadamy tem samem. Chwila i giną w sklepionej bramie wojskowego szpitala. Teraz jasno. Byli to więźniowie żołnierze, osadzeni w Aleksandryjskich koszarach. Siedzi tam około dwustu politycznych i zwykłych przestępców, prawie połowa z pogranicznej straży. Cytadela i jej kazamaty widziały już dużo, obijały się o jej ściany i wały krzyki rozpacz i okrzyki bohaterów, były w nie dźwięki pieśni powstańczych, rewolucyjnych i socjalistycznych. Ale pieśń po rosyjsku śpiewana przez żołdatów otwarcie rozlegała się chyba poraz pierwszy podczas niniejszej rewolucji. Później dowiedzieliśmy się, że oficer konwojujący tych żołnierzy nakazywał im zaprzestanie śpiewu i gdy tego nie uczynili, pobito ich dotkliwie kolbami. Siadłem do pisania, będąc nastrojony melancholijnie, wpadłem na kontrasty naszego życia i aż tyle napisałem.

ZE WSPOMNIENIŃ O ALEKSANDRZE MALINOWSKIM

I.



Aleksander Malinowski wszedł do centrum kierowniczego organizacji konspiracyjnej Polskiej Partji Socjalistycznej po ukończeniu Technologicznego Instytutu w Charkowie, w drugiej połowie ostatniego dziesięciolecia ubiegłego wieku.

Praca w owych czasach była to tak zwana praca u „podstaw”. Rzadko bywała uwieńczona powodzeniem, nigdy nie łączyła nazwiska pracownika z blaskiem chwały publicznej, nie miała oparcia w uznaniu tłumu, gdyż nigdy nie schlebiała jego instynktom. Wymagała więc taka konspiracyjna robota specjalnego doboru ludzi o silnych nerwach i wysokim napięciu nastroju moralnego. W ciasnym gronie konspiratorów zbliżenie następowało szybko, a wspólne przeżycia i twarde przejścia wytwarzały węzły koleżeństwa nierozzerwalne, trwające całe życie. Spory, nieraz bardzo namiętne, nigdy nie zostawiały, tak jak to się zdarzało później, żadnej skazy w stosunkach osobistych, które trwały w serdeczności i we wzajemnej i niezmiennej ufności, pomimo bardzo nieraz rozbieżnych poglądów dyskutujących.

Malinowski był jednym z ludzi do takiej właśnie pracy nadzwyczajnie przystosowanych. Nazywaliśmy go konspiracyjnie „Władkiem”; przybrane imię tak się z nim zrosło, tak przyłgnęło do niego, iż zastąpiło całkowicie istotne imię Aleksandra. Gdy ten pseudonim był już skompromitowany przez żandarmerję polityczną, nie udało mu się nigdy zastąpić go innym pomimo wszelkich jego starań. Przypuszczam, że nawet w jego najbliższej rodzinie nazywano go nieraz Władkiem — jak gdyby dla zaświadczenia, że całe jego życie było ściśle związane z tą ciężką, bezosobową pracą, w której zmęźniał i utrwalił się jego kryształowy charakter. Dziwne koleje przechodziły te pseudonimy: znam

zaledwie kilku ludzi, z którymi przybrane imiona zrosły się tak organicznie, że na całe życie zastąpiły rzeczywiste imiona. Dotąd po trzydziestu prawie latach całe mnóstwo ludzi zwraca się do nich, lub mówi o nich, gdy zesli już ze świata, nazywając ich konspiracyjnym imieniem. Gdy myślą przebiegam tę grupę towarzyszy, znajduję zawsze jedną wspólną im cechę: kochano ich więcej, niż innych, byli poza pracą konspiracyjną jakby krewnymi, braćmi, zawsze uczynni, pomoc dający łatwo i niewiele dla siebie żądający. Jednym z nich był „Władek“; dotąd zapewne u jego kolegów — przy wspomnieniu o nim — serdeczny uśmiech zjawia się na twarzy, a dłoń do braterskiego wyciąga się uścisku.

Był człowiekiem wysoko wykształconym, lecz pomimo, iż doktryny, które wyznawał, skłaniać go mogły do ujmowania zjawisk z mglistego, rzekomo najszerszego, ogólno-światowego stanowiska, głęboka miłość dla rodzimej, swojskiej kultury czyniła go zawsze gorącym patriotą, będącym w ustawicznej walce ze stałym w socjalizmie prądem, który unika patriotyzmu jak grzechu.

Aresztowany wraz ze mną w roku 1899, został skazany na 8 lat eksportacji do Wschodniej Syberji i zdołał zbiec z drogi na wygnanie. Po krótkim wypoczynku za granicą stanął, pomimo zachwianego zdrowia, na nowo do pracy. Było to w zaraniu wrzenia rewolucyjnego, które opanowało imperjum rosyjskie podczas i po wojnie z Japonją. Lecz forma ruchu i namiętności sporu zrażały go niezmiernie; nie mógł już znaleźć tej koleżeńkiej serdeczności, do jakiej się był przyzwyczał poprzednio. Wstręt miał do brudu podjazdowej walki z przeciwnikami i czuł się nieraz bezsilnym wobec panoszącej się plotki. Gdy zaś zdrowie coraz bardziej odmawiało mu posłuszeństwa, wycofał się z czynnego ruchu na bliską emigrację do Galicji.

W działalności swojej Malinowski miał dwa rysy nadzwyczaj charakterystyczne: przedewszystkiem był najbezwzględniejszym wrogiem frazeologii, tępił ją niemiłosiernie, nie dał się nigdy zwieść frazesem lub łatwym słowem, dlatego też w stosunku do ludzi był wymagającym i zawsze szukał etycznej podstawy przy wyborze ludzi w swej pracy organizacyjnej. Specjalnie skrupulatnym był w dziedzinie finansowej, wymagając zarówno od siebie, jak i od innych ścisłych rachunków, chociażby się to tyczyło kilku groszy.

Następnie był bardzo praktycznym w wyborze środków i dróg, prowadzących do celu; śmiałem się zawsze, że pochodziło to z jego inżynierskiego fachu; dlatego też rzadko zawodził w pracy i dobrze oceniał ludzi; na jego rekomendacji zawsze można było polegać. Dzięki tym cechom umiał zachować siebie od deformujących często charakter wpływów życia konspiracyjnego, szedł w życie bez kompromisów, bez załamań i nadpęknięć w duszy.

Nową Polskę powitał, w nowej Polsce żył, jako jeden z nielicznych, spokojnych jej obywateli, nie odczuwających konwulsyjnych dreszczów z powodu tak zupełnie nowego i tak drażniącego swoją nowością życia. Ile razy spotykałem go już w niepodległej Polsce, zawsze miałem wrażenie, że mam przed sobą człowieka tak przygotowanego moralnie do swobodnej Polski, że żał mię brał, iż ma Ona tak niewielu równie przygotowanych obywateli.

Sulejówek, 3 grudnia 1923 r.

J. Piłsudski

II

ALEKSANDER MALINOWSKI W WIĘZIENIU I ORGANIZOWANIE UCIECZKI



ow. Aleksander Malinowski (pseudonim ówczesny „Władek“), aresztowany w lutym r. 1900 na dworcu kolejowym w Łodzi, został przewieziony do cytadeli warszawskiej i osadzony w X. pawilonie, przeznaczonym wyłącznie dla więźniów politycznych. Pracowałam wówczas w Kasie Pomocy Więziennej i opiekowałam się więźniami politycznymi.

Opieka moja nad tow. „Władkiem“ ograniczała się do dostarczenia mu za pośrednictwem jego matki pieniędzy na lepszy wikt i bielizny. O jakimkolwiek konspiracyjnym porozumieniu się z nim mowy być nie mogło. Pani Malinowska kochała syna niezmiernie, gotowa była na największe ofiary dla ulżenia jego losowi, ale zgoła nie rozumiała arkanów sztuki konspiracyjnej. Najusilniejsze starania nakłonienia jej do powtórzenia synowi przy widzeniu zdania napozór niewinnego, lecz mającego dla więźnia nieraz ważne znaczenie, nie osiągały skutku. Wobec tego nie można było powiadomić „Władka“ o życzliwości dla więźniów intendenta X. pawilonu, Aleksieja Sidielnikowa, i o możliwości komunikowania się przez niego ze „światem“. Z tego niezrozumienia konspiracji wynikały czasami zabawne komplikacje.

Pewnego razu przyjechała z Kijowa do Warszawy młoda, przystojna, inteligentna panienska — p. Julia St., która zgłosiła się do tow. „Michała“ (Sulkiewicza) i z zapałem entuzjastki ofiarnie zaproponowała chodzić na widzenia do Aleksandra Malinowskiego w roli narzeczonej. Narazie „Michałowi“ uśmiech-

nęła się myśl, że można będzie przez nią przemycić tę lub ową wiadomość, ale, kiedy przypominałam mu, że ostatniemi czasy żandarmi aresztowali parę takich „narzeczonych“ i poddali je badaniom, zaniechał tego projektu i p. Jula wróciła do domu. Pani Malinowska wzięła konspiracyjne narzeczeństwo za rzeczyste i w p. Juli, która jej się bardzo podobała, widziała miłą sercu synową w przyszłości. Niedopuszczenie do widzenia z synem p. Juli rozumiała po swojemu, zasmuciła się, westchnęła głęboko i spojrzała na mnie z wyrzutem.

Wkrótce potem P. P. S. wydała 38 numer „Robotnika“ — pierwszy po wsypie drukarni w Łodzi. Chciało się bardzo dobrą nowiną ucieszyć pepeesową duszę „Władka“ i dodać otuchy tem, że przecież teraz władze żandarmskie mogły się przekonać, że mają w łapach nie jedynych i niezastąpionych kierowników znienawidzonej przez nich partji, co mogło wpłynąć na tok sprawy i złagodzenie kary.

W przeddzień wyznaczonego widzenia z „Władkiem“ błagałam matkę, zaklinałam na wszelkie możliwe świętości, aby powiedziała synowi, że „Ciotka jest w dobrym humorze, bo bardzo wesoło spędziła dzień urodzin: zaczęła 38 rok“. „Ciotka“ — był to mój pseudonim w Więziennej Pomocy; urodziny — narodziny — wyjście nowego numeru „Robotnika“. Sens jasny dla każdego, przyzwyczajonego operować żargonem konspiracyjnym. I tę sprawę starowina rozumiała po swojemu: westchnęła, pokiwała głową i na moje natarczywe naleganie bąknęła coś niewyraźnie. Kiedy po powrocie z widzenia pani Malinowska, jak zwykle, zdawała mi sprawę z tego, co i jak tam się odbyło, zapytałam, czy dokładnie powtórzyła synowi, o co prosiłam. Niezdolna do wykrętów staruszka spuściła oczy i szepnęła: „Tego nie mogłam uczynić, proszę tego odemnie nie wymagać...“ Biedaczka wyobraziła sobie, że podstępna „ciotka“ usunęła rywalkę, a teraz chwali się, że ma tylko 37 lat..

Za pośrednictwem A. Sidielnikowa wiedzieliśmy o przebiegu sprawy aresztowanych w Łodzi i nie wąpiliśmy, że po paru latach śledztwa będą mieli zesłanie na 8 lat do Kołymska, taka bowiem była wówczas najwyższa kara dla przestępców politycznych. 8 lat Kołymska — to 8 lat jałowego bezczynnego istnienia w warunkach niecywilizowanego życia dla tow. „Władka“, który, choć chory i słaby fizycznie, ale mocny duchem

i wszystkimi fibrami duszy tkwi w duchu wyzwolenicznym! Bez głębokiego współczucia nie mogliśmy o tem myśleć — my pozostający w kraju i na wolności. Ucieczka z cytadeli była fizycznie niemożliwa.

Naraz dowiadujemy się, że śledztwo skończone i że „Władka“ i „Karola“ (Kazimierza Rożnowskiego), aresztowanego w tej samej sprawie drukarni „Robotnika“, przewożą do więzienia w Siedlcach, gdzie mają pozostawać aż do wyroku.

Błysk nadziei i radość niewypowiedziana!

W Siedlcach panie M. ofiarowały p. Malinowskiej swoje mieszkanie dla zajazdów i noclegów. Widzenia z więźniem po śledztwie były częstsze, dłuższe i mniej kontrolowane. Przy poparciu „Władka“ udało się namówić matkę, aby sprowadziła dla mnie paszport swojej zamężnej córki, p. Rucińskiej, mieszkającej na Podolu. To paszportowe pokrewieństwo dawało mi prawo odwiedzania „Władka“. Jeździłam tedy do Siedlec kilkakrotnie i nawet spędziłam tam jakieś świąteczne dwa dni.

Przy widzeniach z „Władkiem“ asystował zawsze sam naczelnik więzienia, który miał wielkie poważanie dla „pana inżyniera Malinowskiego“, najuczciwszego i najpoważniejszego więźnia w jego więzieniu, zachowywał się dyskretnie i siadał dość daleko od nas. Oczywiście poza pogawędką w stylu żargonowo-konspiracyjnym miałam możność wręczyć mu zawsze „gryps“ i nieco ciekawszej bibuły.

Czas, pozostający do odejścia pociągu, poświęcałam na obznajomienie się z wewnętrznym urządzeniem i sytuacją zewnętrzną więzienia. Wtedy powstała u mnie myśl wykradzenia „Władka“. Nakreśliłam plan, który niecałkowicie mnie zadawał, trzeba więc było poradzić się z kimś sprytnym i praktycznym i opracować szczegóły. Najbardziej nadawałby się do tego „Michał“, ale w tym czasie czemuś nie był w Warszawie. Zwróciłam się wtedy z moim projektem do najwyższej władzy partyjnej w Warszawie, do tow. „Jerzego“ (Adama Bujny), członka C. K. R.

Tow. „Jerzy“ powiedział, że wobec pustki w kasie partyjnej nie będzie miał pieniędzy na takie kosztowne przedsięwzięcie. Odrzekłam, że pieniędzy na ten cel będę miała tyle, ile będzie potrzeba. Otóż z pieniędzmi dla „Władka“ było tak: Kasa Pomocy Więziennej dawała każdemu więźniowi na ręce rodziny

5 rb. miesięcznie na poprawę wikt i drobne wydatki; na drogę zesłańcowi, zależnie od odległości, 15, 20, najwyżej 25 rb. To było maksimum, co mogła dać Pomoc Więzienna, jednocześnie zaś minimum, bez którego ciężką była dola niezamożnego zesłańca. Czasem przychodziła z pomocą partja, ale wtedy, według zapewnienia „Jerzego“, w kasie były pustki, a wydatki duże. Aleksander Malinowski był chory i potrzebował bardzo pożywnej strawy, był „nielegalnikiem“, — to znaczy nie miał stałego miejsca zamieszkania, a jego bielizna i odzież były rozproszone po różnych sympatykach, to znaczy tak jakby nie istniały. Właściwie miał tylko tyle, co było na nim w czasie aresztowania. Wówczas koledzy inżynierowie i przyjaciele osoby (a miał ich sporo) opodatkowali się miesięcznie i składali na moje ręce dosyć poważne datki. W ten sposób „Władkowi“ na niczem nie zbywało, co tylko było dostępne więźniowi X. pawilonu, i wykwapowało się go całkiem przyzwyczajenie. Pieniądze z Więziennej Pomocy odkładałam na wszelki wypadek.

Po przeniesieniu Aleksandra Malinowskiego do Siedlec na intencję możliwej ucieczki urządziłam szereg odczytów Andrzeja Niemojewskiego, który był wówczas socjalistycznie nastrojony i bardzo „kasowy“. Największe powodzenie miały wówczas czytane przez samego Niemojewskiego, niedrukowane jeszcze, słynne „Legendy“. Pieniądzy tedy dla tow. „Władka“ nie brakło.

Po rozmowie ze mną „Jerzy“ pojechał sam do Siedlec, obejrzał więzienie nazewnątrz i przyjechał z własnym projektem ucieczki — karkołomnym i nierealnym, na który nie mogłam się zgodzić, wobec czego myśli o wykradzeniu z więzienia siedleckiego trzeba było zaniechać.

Kiedy ogłoszono wyrok (zesłanie na 8 lat do Średnio-Kołymska — jednego z najodleglejszych punktów Syberji Wschodniej, w którym jeszcze może egzystować Europejczyk), trzeba było pomyśleć o ucieczce z drogi. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowywania. Pani Józefa Hiszpańska, matka właścicieli zakładu i sklepu szewskiego Tadeusza i Stanisława (firma stara i zasłużona społecznie) brała udział w Pomocy Więziennej, swoją ofiarnością i hojnością oddawała jej cenne usługi. U niej miała mieszkanie i utrzymanie p. Malinowska przez cały czas pobytu syna w Cytadeli. Za jej wstawiennictwem do synów liczne mocne i wygodne długie buty na nogach zesłańców wędrowały na

Syberję. Za pośrednictwem p. Zofji Hiszpańskiej obstałowałam dwie pary butów, odpowiednich do klimatu syberyjskiego, dla Malinowskiego i Rożnowskiego, który też dostał zesłanie na Jakuty. Stosownie do umowy do podeszew wszyto paszporty, niezbędne przy możliwej ucieczce. O wszyciu paszportów oprócz państwa Hiszpańskich i majstra Stanisława, człowieka bardzo zacnego i pewnego, nikt nie miał wiedzieć. A jednak w sposób zgoła niepojęty władze o tem się dowiedziały, oderwały podeszwy w butach Rożnowskiego i wydobyły paszport. Buty Malinowskiego były jeszcze u mnie na składzie, ale oczywiście, ku zmartwieniu matki, która o niczem nie wiedziała, nie zostały mu oddane.

Zbliżał się czas wyjazdu. W ostatnich dniach pobytu Malinowskiego w więzieniu Siedleckim udało się, dzięki słabemu stanowi jego zdrowia, wyjednać pozwolenie wyjazdu nie etapem, lecz na własny koszt. Jadąc na własny koszt, zesłaniec wyruszał w asyście dwóch konwojentów, których podróż w obie strony opłacała rodzina. Pani Malinowska złożyła na ręce naczelnika więzienia Siedleckiego odpowiednią kwotę — akurat tyle, ile wynosiły koszta biletów kolejowych III klasy do Moskwy dla „Władka“ i konwoju i na powrotną drogę dla tego ostatniego. W Moskwie Malinowski miał być oddany w ręce władz tamtejszych.

Malinowski miał wyruszyć w drogę lada dzień. Plan mój tym razem był taki: dla Malinowskiego była przygotowana kurtka podróżna z zaszytymi chytrze w guziki pięć-rubłówkami, zesłańcom bowiem nie wolno było mieć przy sobie żadnych pieniędzy, pozwalano tylko złożyć na ręce konwoju nieznaczną, ściśle określoną kwotę kilku rubli na drobne wydatki. Poza tem Malinowski miał mieć przy sobie walizkę z trochę odzieży, koszyczek ręczny do produktów na drogę oraz czajnik blaszany na wrzątek do herbaty. W paczkach żywnościowych można było bezkarnie ukryć butelczynę wódki, której przy ostatecznej rewizji przy wyjeździe najczęściej nie znajdowano, w dobrze zrozumiałym interesie konwoju. Wódka miała być zaprawiona środkiem nasennym, konwój bowiem, pozostając sam na sam z zesłańcem, nigdy nie odmawiał poczęstunku.

W tym samym pociągu, a potem, jeżeli się da, w tym samym wagonie co Malinowski, miała jechać tow. „Aniuta“ (Anna Mielnikówna), osoba odważna, sprytna, konspiracyjnie wyrobiona. Obliczaliśmy, że w okolicach Mińska Litewskiego konwój uśnie,

w Mińsku „Władek“ z „Aniutą“ wysiadą i podążą do jednej z przygotowanych kryjówek. Po ulokowaniu „Władka“ w bezpiecznym miejscu „Aniuta“ da znać władzom P. P. S., aby zajęły się dalszym losem „Władka“. Z obowiązku organizacyjnego musiałam zawiadomić o powyższem władze partyjne — to znaczy tegoż samego tow. „Jerzego“. „Jerzy“ tym razem plan mój zaprobował, nie zgodził się tylko na delegowanie tow. „Aniuty“, lecz sam miał pojechać z „Władkiem“.

Malinowski ruszył w drogę w nieco odmiennych i znacznie lepszych, niż poprzednio przypuszczano, warunkach. Naczelnik więzienia siedleckiego zwyczajem carskich czynowników schował do szeroko-rosyjskiej kieszeni koszta podróży jednego konwojenta i puścił Malinowskiego z jednym tylko stójkowym. Cała więc flaszka przypadła dla jednego. Stójkus nie dał się prosić i jeszcze przed Mińskiem wychlał całą flaszkę, przegrzając tłustą kiełbasą. Ale czy środek nasenny był za słaby, czy łąb moskiewski za odporny, dosyć że nie zasnął. Kiedy w Mińsku Malinowski zażądał wrzątku, policjant złapał czajnik i sam poleciał poń, zamiast kazać przynieść. Kiedy wrócił do wagonu, Malinowskiego już tam nie było.

Tymczasem „Paweł“ (Stanisław Pękostawski), wysłany przez „Jerzego“, dotarł z „Władkiem“ do mieszkania mojej siostry, Genowefy Rewerellowej, która, uprzedzona zawczasu, przygotowała kryjówkę w ciemnym pokoju, mieszczącym kufry i połamane graty, i przez parę dni bacznie strzegła, aby ani dzieci, ani nikt inny tam nie zajrzał.

Ja tymczasem wyjechałam na parę dni do p. Marji Bukowińskiej (żony Władysława, redaktora „Sfinksa“), która z dwoma synkami wynajęła pokój od Aleksandra Świętochowskiego w Brzezinach, o 2 klm. od stacji Dęby Wielkie. Pewnego południa chodziłam po parku z chłopaczkami państwa Bukowińskich — aż tu naraz ku memu zdziwieniu i, przyznam się, przerażeniu widzę kroczących od strony furty „Jerzego“ i „Władka“... Pani Bukowińska miała migrenę i leżała w łóżku. Nie mogłam więc do niej wprowadzić przybyłych towarzyszy. Świętochowski o tyle był grzeczny, że moich gości wraz ze mną zaprosił do siebie i nawet uczęstował obiadem.

Jedno spojrzenie na Malinowskiego nie pozostawiało wątpliwości co do jego pozycji w świecie. Od bladej twarzy jasnego

blondyna fatalnie odbijały mocno uczernione długie wąsiska i złe wyszwarcowany słaby zarost na głowie. Świętochowski zestrachał się porządnie i z góry zapowiedział, że u niego na noc pozostać nie mogą, bo koło niego jest niebardzo „czysto“, ale dał bryczkę i konia, zaufanego furmana i polecił odwieźć do znajomego chłopca, gdzie mogli mieć bezpieczny nocleg.

Byłam na „Jerzego“ zła. Nie miałam zwyczaju ani znajomym, ani nawet sympatykom robić niebezpiecznych niespodzianek. Wróciłam do Warszawy. Po paru dniach pełnego niepokoju oczekiwania przyszła z Galicji na imię p. Kazimierzy Twardzickiej (właścicielki zakładu fotograficznego) pocztówka z gębą, w radosnym uśmiechu rozdziawioną od ucha do ucha, i drukowanym podpisem „Wojtek z Kolbuszowej“, a niżej drobnym maczkiem ręką „Władka“ nakreślonymi słowami. „najszczęśliwszy człowiek na świecie“.

Warszawa, 16 października 1923 r.

Marja Paszkowska

III

ZE WSPOMNIEN WSPÓLNEGO POBYTU Z ALEKSANDREM MALINOWSKIM W WIĘZIENIACH

O godz. 11-tej wieczór 21 lutego r. 1900 wyszliśmy z drukarni „Robotnika“ — ja do swego wynajmowanego poza drukarnią pokoiku, w którym tylko sypiałem, „Władek“ (pseudonim ówczesny partyjny Aleksandra Malinowskiego) na dworzec kolejowy.

Przed paru dniami „Władek“ przywiózł wiadomość, że w Dąbrowie Górniczej po zabiciu prowokatora Mazura nie wszystko jest w porządku; według i jego opinii, „robotą była zrobiona nieczysto“, za dużo ludzi o tem wiedziało, nie jest też wykluczona większa wyspa w Zagłębiu. Po naradzie „Władek“ miał się udać do Dąbrowy na jeden dzień, dobrze się rozejrzeć w sytuacji i poczynić potrzebne zarządzenia dla zabezpieczenia organizacji partyjnej od wsypy.

Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa tej podróży, Władek przed wyjściem dokonał u siebie ścisłej rewizji w kieszeniach

i notesiku i bez żadnych rzeczy udał się ze mną na dworzec kolejowy. Umówiliśmy się, że bilet kolejowy wykupi on z Łodzi do Koluszek, a dopiero w Koluszkach do Dąbrowy, by w ten sposób zatrzeć wszelkie ślady swojej bytności w Łodzi.

Po wyjściu z drukarni i po przejściu paru ulic zauważyłem niby jakiś cień za nami. Zwróciłem uwagę „Władka“. Sprawdziiliśmy. Zdaje się, że złudzenie. „Masz, „Karolku“ (mój ówczesny pseudonim partyjny), nerwy przeczulone i przemęczone“ — powiedział mi „Władek“. Jednak, mając na względzie bezpieczeństwo drukarni, zaraz na ludniejszej ulicy przed dworcem kolejowym rozstaliśmy się; ja się zmieszałem z tłumem, aby zatrzeć za sobą ślady, „Władek“ udał się na dworzec.

Jak się okazało, „Władek“ był już śledzony i przy kasie po kupnie biletu do Koluszek został zaaresztowany, w pokoju żandarmskim poddany rewizji, potem przewieziony do więzienia łódzkiego, po paru zaś miesiącach osadzony w X. pawilonie Cytadeli warszawskiej. Też same nocy aresztowano Józefa Piłsudskiego z żoną w drukarni „Robotnika“.

W Łodzi szczęśliwie uniknąłem aresztowania; dopiero w tydzień później zostałem wypadkowo aresztowany w Wilnie z paszportem na imię Stanisława Krajewskiego, meldowanym w Łodzi; naturalnie zaraz dołączono mnie do sprawy drukarni „Robotnika“ i mniej więcej w tym samym czasie, co i „Władka“, przewieziono z więzienia wileńskiego do X. pawilonu.

Po półtorarocznym dochodzeniu pierwiastkowym na jednym z badań oświadczył mi rotmistrz żandarmski Koniskij, że dochodzenia już ukończone, a na moje zapytanie, czy nie mógłbym teraz dostać towarzysza do celi, odpowiedział: „sam nie wiem kogo panu dać: bundowca nie można, pobijecie się, endeka ani robotnika też, bo pan ich zepsuje“. Na moją propozycję połączenia mnie z Piłsudskim lub z Malinowskim, których w żaden sposób zepsuć nie potrafię (o pierwszym wiedziałem, że już został wykradziony z więzienia) żandarm się stropił, odpowiedział niewyraźnym „da, da“ i na tem sprawa się zakończyła. Po tygodniu brat mi powiedział na widzeniu (naturalnie w żargonie konspiracyjnym), że od matki Malinowskiego dowiedział się, iż dziś mają mię przenieść do celi „Władka“.

Radość nieopisana! Po powrocie do swojej celi zaraz zaparkowałem rzeczy i z niecierpliwością zacząłem oczekiwać tej chwili.

Po jakiejś godzinie otwierają się drzwi, wchodzi wachmistrz żandarmski z dwoma żandarmami i ku swemu wielkiemu zdziwieniu widzi mnie spakowanego.

— A pan dokąd się wybiera?

— Do Malinowskiego na stałe, wszak musi mnie pan tam zaraz zainstalować.

— A pan skąd posiada takie wiadomości?

— Cóż to pana wzrusza, wypełni pan polecenie.

Żandarm się uśmiecha — „O, śnać pilno panu!“ — i proponuje zaraz się przenieść do celi.

Już i „Władek“ wiedział o zapadłej decyzji. Matka mu powiedziała właśnie dziś na widzeniu — z niecierpliwością mnie oczekiwał. Rzuciliśmy się sobie w objęcia, przez dłuższy czas nie mogliśmy słowa wydobyć ze wzruszenia, nawet bezdusznych żandarmów widocznie ta scena powitania wzruszyła — stali i patrzyli na nas, uśmiechali się dobrodusznie. „Nu, teraz panom weselej będzie, czas nie będzie się tak dłużył“, — zauważył stary wachmistrz, zaryglowując drzwi.

Zaczęła się chaotyczna rozmowa, posypały się bez końca zapytania, urywane odpowiedzi.

— Zbladłeś mi coś i marnie wyglądasz, „Władku“!

— A bo widzisz, od trzech dni właściwie nic nie jadam — zepsuł mi się żołądek, a przy wszelkich cierpieniach żołądkowych najlepsze lekarstwo nic nie jeść, stosuję to do siebie.

Zapalam papierosa — „a ty, „Władku“? — pytam. — „Nie palę, przestałem palić, ale daj mi dziś, zapalę z tej radości, że jesteśmy razem“. Zapalił i od tego dnia znowu zaczął palić.

Nie kładliśmy się spać tej nocy, wciąż opowiadaliśmy sobie przeżycia, wyjaśnialiśmy szczegóły i przyczyny naszego aresztowania, wreszcie musieliśmy sobie zakomunikować wszystkie wiadomości ze świata, skąpo zebrane od przygodnych sąsiadów w celach, wysnute z oddzielnych słówek, usłyszanych na badaniu lub na widzeniach. Dopiero po 36 godzinach rozmowy, położyliśmy się spać nocy następnej.

Życie więzienne popłynęło już weselszym i raźniejszym trybem. Mieliliśmy, każdy z nas, cały szereg zdobyczy na władzy więziennej, więc przede wszystkim zażądaliśmy, by nam te poszczególne zdobycze były i nadal pozostawione. „Władek“ miał n. p. wy-

walczony siedmiominutowy spacer dzienny, ja pięciominutowy, wywalczyliśmy, że mieliśmy teraz 12 minut spaceru (włączając w to drogę na miejsce spaceru i z miejsca spaceru); ja miałem prawo otwierać lufcik bez wołania żandarma, miałem prawo mieć w celi na stałe papier, obsadkę, kałamarz, mnóstwo książek, których mi brat dostarczał, igły, naporstek, nici kolorowe do znaczenia bielizny, „Władek“ dużą lampę naftową z przyrządem do grzania wody, kubek własny, herbatę, kakao, mogliśmy więc sobie przyrządzać śniadania, kolacje i t. p.

Wogóle u władz więziennych mieliśmy poważanie, bo w przekonaniu żandarmów byliśmy wśród siedzących podówczas w Cytadeli najbardziej skompromitowani polityczni działacze i najstarsi lokatorzy. Niejednokrotnie komendant Cytadeli, rotmistrz żandarmski Fromundo, zaznaczał, że tylko zawdzięczając powyższym względom robi nam pewne ustępstwa. „Panowie jesteście generałami rewolucji — mówił nam kiedyś — więc według rangi honory (po czynu poczitanje)“. Dusza moskiewska — służalcza zawsze i wszędzie — przedewszystkiem szanuje „czyn“, a kark giętki gnie się nawet przed „generałem rewolucyjnym“.

Po kilku dniach życia gorączkowego, po omówieniu wszystkich palących kwestyj, wróciliśmy do normalnego życia więziennego z tą różnicą, że nie byliśmy już skazani na przymusowe milczenie każdy w swojej celi zosobna, na zupełne odosobnienie od wszelkiej istoty ludzkiej, lecz wspólnie dzieliliśmy nudy i okropne warunki więzienia carskiego.

Siedząc już trzeci raz w więzieniu i w najrozmaitszych warunkach, wiedziałem, że nic nie jest straszniejsze w więzieniu nad nudy; więzień musi znaleźć sobie zajęcie, musi czas zabić, bo inaczej nie wytrzyma. To się tyczy siedzenia w pojedynkę, we dwóch lub w większej ilości, z tą różnicą, że, siedząc w pojedynkę, człowiek sam sobie zbrzydnie, siedząc z innymi, im zbrzydnąć może, lub oni zbrzydną, a wówczas wspólne siedzenie będzie nie ulgą, lecz męczarnią, zwłaszcza gdy się siedzi z przyjacielem, którego się kocha i szanuje.

Siedząc w swojej celi, zacząłem układać na podstawie specjalnych dzieł, których mi dostarczał brat, drzewo genealogiczne królestwa zwierząt. Podałem więc projekt „Władkowi“, że uporządkuję ostatecznie moje notatki, on zaś, jako inżynier, znający się na kreśleniu, weźmie na siebie trud wykreślenia tego drzewa

na papierze Wathmana. Akurat brat mi się żenił, umyśliłem dać mu tę pracę jako prezent ślubny.

„Władek“ chętnie przystał na to, zaraz się zakrzętnął, otrzymał pozwolenie na kupienie przyrządów kreślarskich, tuszu, papieru, i robota zawrzała. W parę miesięcy „drzewo genealogiczne“ było wykończone, bardzo imponujące, z konarami, każde zwierzę, rząd, rodzina, poszczególne gatunki zwierząt miały ładnie wykreślone tabliczki z napisami, grupowo były wymalowane w rozmaitych kolorach akwarelą. Pamiętam, z jaką dumą patrzył Władek na tę kilkomiesięczną naszą pracę. — „Udało nam się“ — kilkakrotnie powtórzył. Szkoda wielka, że ta nasza praca pamiątkowa zaginęła u brata w czasie rewolucji, cofania się wojsk, ucieczek i t. p.

Ta praca nas uchroniła od nudy, bezczynności, zgryźliwości i innych podobnych zalet, nabywanych przy paroletnim siedzeniu celkowym.

Dla emocji urządzaliśmy od czasu do czasu chryje żandarmom, korzystaliśmy literalnie z każdej okazji, — czy żandarm za długo przez okienko-„judasz“ patrzył na nas, czy chciano nam urwać parę minut z tych 12 minut spaceru, czy zanadto na korytarzu hałasowano — zaraz robiliśmy z tego piekło, wołaliśmy „naczalstwo“ aż do komendanta włącznie i, co najdziwniejsza, zawsze z pomyślnym skutkiem, ani razu nie mieliśmy kary tak zwanego „karceru“ (ciemna cela bez okien, łóżka, wikt: chleb i woda).

Kiedyś powiedział nam komendant X. pawilonu: „oj, przeciągniecie panowie strunę, będziemy was mieli dosyć i wyślemy do jakiegoś innego więzienia prowincjonalnego“. Byłaby to inowacja, bo dotychczas, o ile wiedzieliśmy, takiego środka nie stosowano, a dla nas zaś byłaby to rozrywka — zmiana miejsca, no i snucie kombinacji na temat możliwości ucieczki. Więc ta przestroga nietylko nie pobudziła nas do zaniechania wojny odpornej w stosunku do zaczepek żandarmów, odwrotnie, roz poczęliśmy drobną walkę podjazdową, pobudzając poszczególnych żandarmów do odwzajemnienia się nam, co znowuż powodowało interwencję władz więziennych wyższych.

Jednak władze w dalszym ciągu nie stosowały żadnych specjalnych represyj w X-ym pawilonie, wykorzystały natomiast pierwszą potrzebę — przygotowanie miejsca dla nowych więźniów politycznych, dołączyły nas do tak zw. partji politycznej, składającej się zwykle z robotników, i wysłały z Warszawy do Siedlec.

Pewnego wieczoru przyszedł do nas do celi wspomniany rotmistrz Fromundo i oświadczył, że dziś wieczorem wyjeżdżamy, musimy więc rzeczy zapakować, ale osobno, bo wyjedziemy nie razem. Dokąd? — odpowiedzi odmówił. Trudna rada! Rzeczy spakowaliśmy. Pierwszego zabrano „Władka“. Pożegnaliśmy się, jak na długie rozstanie. Po półgodzinie wywołano mnie, zrewidowano rzeczy (na ten raz bardzo powierzchownie), z dwoma żandarmami wsadzono do dorożki i jazda.

Ku memu zdziwieniu przywieziono mnie do więzienia na Ratuszu, a ku memu jeszcze większemu zdziwieniu w kancelarii więziennej spotkałem się z „Władkiem“. Trzeci czekał w kancelarii dr. Duchateau (narodowy demokrata; wówczas N. D. jeszcze nie szła na wyraźną ugodę z rządem carskim), który miał, jak się potem okazało, szereg ostrych zatargów z żandarmami w X-ym Pawilonie, aż do związania go włącznie.

W kancelarii znowu zrobiono u nas wszystkich rewizję (już nie żandarmi lecz rewirowi), zabrano przy tej okazji papierosy, by kwadrans później nasze papierosy odprzedać nam po podwójnej cenie, i wprowadzono nas wszystkich trzech do dużej celi więziennej.

Zaczęliśmy badać celę, opukiwać ściany, by porozumieć się z sąsiadami i, ku naszemu zdumieniu, usłyszeliśmy głos jakby z podziemia: „co zawracacie głowę pukaniem! chodźcie do dziury, to się rozmówimy“. W sąsiedniej celi siedziała grupa robociarzy, aresztowanych w Warszawie w czasie manifestacji. Zrobili oni dziurę w ścianie i w ten sposób porozumiewali się z sąsiadami.

Po zakomunikowaniu naszych nazwisk usłyszeliśmy okrzyk: „cześć wam, towarzysze z drukarni Łódzkiej, z nieśmiertelnego „Robotnika“! A czy wiecie, że Piłsudski uciekł i że „Rob“ w dalszym ciągu wychodzi?“

Od nich dowiedzieliśmy się o wszystkich nowinach tak z życia partyjnego, jak ze świata, od nich dowiedzieliśmy się o piorunującym wrażeniu wśród mas robotniczych ucieczki Piłsudskiego; słuchaliśmy z zapartym oddechem opowiadań o wzbierającej fali ruchu robotniczego.

Na „Ratuszu“ byliśmy parę dni. Warunki więzienne tu się okazały całkiem odmienne od warunków w X-ym Pawilonie. Przedewszystkiem żadnego żandarma, sami policjanci (rewirowi),

od których za łapówkę można było uzyskać wszystko, co się podobało: papierosy, obiady w restauracji, pisma, listy od rodziny i t. p.

Po paru dniach przewieziono nas do więzienia na Pragę (tak zwanego „Zborniaka“); tu zrewidowano znowu, skoncentrowano jeszcze kilkunastu politycznych więźniów i w nocy razem z kryminalistami wysłano do więzienia siedleckiego.

Muszę tu wspomnieć o jednym epizodzie: przywieziono nas na „Zborniak“ w karetce więziennej widocznie bez uprzedniego zawiadomienia. Bramę zastaliśmy zamkniętą. Policjanci nie zorientowali się, otworzyli drzwiczki karetki, wyszliśmy na ulicę pod wartą trzech policjantów. Jednocześnie błysnęła u „Władka“ i u mnie myśl: uciec! Ulica pusta, żadnego przechodnia, żadnej dorożki... U wylotu pokazał się oddział maszerującego wojska. Po chwili brama więzienna otwarła się i z hałasem za nami się zamknęła. Była chwila złudzenia możliwości odzyskania wolności.

Wieczorem, po nowej rewizji i pod ścisłą eskortą wojskową, na piechotę, odprowadzono nas na dworzec kolejowy, tu wsadzono do wagonu nas — około 10 politycznych i około 30 kryminalistów — i powieziono do Siedlec. Tu w nocy znowu pod silną eskortą wojskową odprowadzono do więzienia.

W więzieniu siedleckim po nowej rewizji umieszczono „Władka“ i mnie pierwotnie w jednej celi. Pierwsze wrażenie nowego pomieszczenia było okropne: cela mała — trzy—cztery kroki wszędy, około 10 wzdłuż, jedno łóżko żelazne, wąskie, przyśrubowane do ściany, cuchnące i ciekące wiadro (tak zw. „parasza“), zimno, ciemno, wilgotnie, słowem pod psem.

Nazajutrz od razu rozpoczęła się walka z zarządem więziennym o zmianę całego szeregu zarządzeń, krępujących nas do reszty, jak pozbawienie książek, tytoniu, zegarków, części naszych rzeczy, światła od 7-ej wieczór i t. p. Skomunikowaliśmy się z innymi więźniami politycznymi i, pomimo oporu naczelnika więzienia, niejakiego Popowa, człowieka podłego, niskiego, sprzedajnego, złodzieja i łapownika, uzyskaliśmy od prokuratora, że tak powiem, prawo wyjątkowe dla nas wszystkich. Naczelnik więzienia nie mógł nam tego darować do końca pobytu naszego w Siedlcach, twierdząc, że wnieśliśmy do życia więziennego demoralizację, a ta demoralizacja polegała głównie na tem, że p. naczelnik przez swoich zaufanych dozorców sprzedawał po 10-ciokrotnej

cenie więźniom tytoń — machorkę, i raptem jacyś przybysze, „aresztanci“, pozbawili go tego dochodu, bo na książeczkę po stałej cenie mogą kupować z miasta tytoń i papierosy!

To mu nie przeszkadzało, że odnosił się do nas ze specjalnym szacunkiem, właściwie bał się nas — „pamiętajcie — mówił swoim dozorcóm — że są to ludzie niebezpieczni, mogą ponapi-sywać i na mnie i na was skargi i donosy, lepiej z nimi nie zadzierać, a robić tak, by oni o niczem nie wiedzieli“.

Ani on, ani gubernator, który był nas odwiedził, nie mogli zrozumieć, że ludzie z wyższem wykształceniem, przed którymi otwierała się karjera, „rangi“, mogli dla jakichś złudnych idei, „dla brudnych, odrapanych robociarzy“ wszystkiego się wyrzec i wzamian za dobrobyt mieć celę więzienną i chleb więzienny.

Otrzymaliśmy w drodze wyjątku zezwolenie od władzy prokuratorskiej zajmować na noc dwie cele (t. j. mieć dwa łóżka), a w dzień być razem. Spacerowałyśmy wspólne, wszyscy polityczni, pół godziny dziennie. Widzenia częstsze, a w razie przyjazdu rodziny codzienne bez krat, w kancelarii więziennej, przyczem obecny naczelnik lub jego zastępca dyskretnie usuwali się na stronę. Korzystając z tych warunków, mieliśmy pisma, wydawnictwa nielegalne, „Robotnika“, a nawet przyjeżdżała do nas na widzenie, jako rzekoma siostra „Władka“, Marja Paszkowska (pseudonim ówczesny „Gintra“, „Ciotka“), kierowniczką kolportażu partyjnego w Warszawie, i przywoziła nam najświeższe z życia partyjnego wiadomości.

Zapoczątkowaliśmy wówczas dla siedzących w więzieniu od-czyty polityczne, odręcznie pisane, na tematy aktualne. Razem z nami siedziało paru „Proletarjatek“ (Pruszkowski, Więch — obecnie bolszewik), paru Esdeków (Dzierżyński — czerwony dyktator i kat w Sowdepji), potem przywieziono grupę studentów z Moskwy, osądzonych za rozruchy studenckie na pół roku więzienia. Podzieliliśmy pomiędzy sobą tematy, pisaliśmy odręcznie po dwa egzemplarze i posyłałiśmy do innych cel, a na wspólnych spacerach rozwijaliśmy dyskusję.

Wreszcie 5-go maja 1822 r. otrzymaliśmy wyrok: obaj do kraju Jakutów, „Władek“ na lat 8 do Średnio-Kołymska, ja na lat 6 do Wierchojańska. Wyrok dosłownie brzmi jak następuje:
„Marca 29 r. 1902. Naczelnik Warszawskiego Gubernjalnego Zarządu Żandarmskiego Marca 28 r. 1902, Nr. 3275. Panu Na-

czelnikowi Więzienia Siedleckiego. — Prokurator Warszawskiej Izby Sądowej pismem z dnia 21 b. marca za Nr. 528 powiadomił mnie, że Jego Cesarska Mość stosownie do najpoddańszego raportu Pana Ministra Sprawiedliwości o okolicznościach sprawy szlachciców: Aleksandra Malinowskiego i Kazimierza Rożnowskiego, oskarżonych o zbrodnię stanu, w dniu 13 marca r. b. najwyżej rozkazać raczył niniejszą sprawę załatwić w drodze administracyjnej w ten sposób, aby po zarachowaniu kary aresztu prewencyjnego* wysłać Aleksandra Malinowskiego i Kazimierza Rożnowskiego pod jawny dozór policyjny do Wschodniej Syberji — pierwszego na 8 lat, drugiego na 6 lat. Wskutek powyższego mam honor prosić Pana Naczelnika (Wasze Wysoko-błagorodje) ogłosić wspomnianym Malinowskiemu i Rożnowskiemu, znajdującym się pod strażą w podległym Panu więzieniu, treść zapadłego o nich najwyższego rozkazu. Generał major (—) Iwanow“.**

Zaczęliśmy się szykować do drogi. Przedewszystkiem zażądaliśmy dentysty, któryby nam uporządkował zęby, bo w kraju Jakutów w razie choroby zębów dentysty nie znajdziemy. Naczelnik więzienia w żaden sposób z tem się pogodzić nie mógł — „to rozbój, to demoralizacja! Jeszcze zęby im leczyć!“ — Ale prokuratura uwzględniła nasze żądania i dentysta w ciągu miesiąca leczył nasze zęby, jednocześnie zaś dostarczał nam dzienników i informował o wszystkim, co się działo na świecie.

W dalszym ciągu zaczęliśmy myśleć o „wyprawie“, t. j. o bieleźnie, ciepłym ubraniu, naczyniach kuchennych, narzędziach stolarskich, bo, jadąc do takich dzikich krajów, trzeba mieć wszystko.

Jednocześnie nie opuszczała nas myśl główna — przygotować ucieczkę. Zdawaliśmy sobie sprawę, że z miejsca wygnania, z kraju Jakutów uciec nie można: te 1000-kilometrowe przestrzenie, któreby nas oddzielały od najbliższej stacji kolejowej, uniemożliwiały wszelkie próby, były najlepszym murem więziennym, z poza którego wychylić się nie można. „Ucieczka może się udać tylko z drogi“ — niejednokrotnie mówiliśmy sobie. Fantastycznych projektów Marji Paszkowskiej — wykradzenia nas z więzienia — poważnie nie braliśmy w rachubę, były to sobie takie miłe

* Dwa lata i 4 i pół miesiąca.

** Szef żandarmerji warszawskiej.

projekty, o których się mówi i których się słucha, jak pięknej bajki. Czuliśmy okropną wdzięczność dla „Ciotki“ za te starania i myśl o nas, ale, znając dokładnie rozkład więzienia i warunki więzienne, poważnie nie traktowaliśmy, zwłaszcza, że najdoświadczeńszy w tych sprawach, nieodżałowanej pamięci Aleksander Sul-kiewicz (pseudonim „Michał“), wówczas bawił za granicą i udziału bezpośredniego w opracowaniu planu wziąć nie mógł. Myśl więc nasza była zwrócona jedynie w kierunku ucieczki z drogi — jako najbardziej realnej.

Przedewszystkiem postanowiliśmy porobić starania, aby jechać na Syberję nie tak zwanym „etapem“, t. j. w wagonie zakratowanym, pod silną eskortą wojskową od więzienia do więzienia — Moskwa, Samara, Krasnojarsk, Aleksandrowskie około Irkucka, Jakuck, wreszcie Wierchojeńsk i Kołymsk, lecz na „swój koszt“. Przy tym ostatnim sposobie opłacało się koszta podróży dwóch żandarmów do Irkucka i z powrotem, płaciło się w dodatku za swój bilet i jechało się z żandarmami w zwykłym wagonie, a więc w warunkach, w których okazja ucieczki mogła się łatwo zdarzyć. Zażądaliśmy lekarza, który miał nas zbadać i orzec, że stan zdrowia naszego wymaga prędszego wyjazdu i nie pozwala na poniewierkę po więzieniach i etapach.

Z „Władkiem“ było o wiele łatwiej, bo na zdrowiu zawsze szwankował, najgorsze miał płuca; ze mną było nieco trudniej, bo na nieszczęście byłem zupełnie zdrowy, jednak doktor znalazł jakieś tam cierpienia w rodzaju astmy dziedzicznej czy żaby piersiowej, zaświadczenie odpowiednie napisał i sprawa poszła do Petersburga.

W trakcie czekania odpowiedzi obmyśliliśmy wszystkie szczegóły ewentualnej ucieczki: Paszkowska miała obstalować nam parę butów i troki, w podeszwy miały być wprawione paszporty zameldowane, również w ręczce od trok. Coprawda, małą mieliśmy nadzieję, że nam pozwolą jechać „na swój koszt“, ale postanowiliśmy, że ten, który pierwszy otrzyma pozwolenie na wyjazd, zabierze ręczkę od trok; gdyż w podróży łatwiej z trok wydobyć paszport, niż z pod podeszwy butów. Omówiliśmy w ogólnych zarysach z Paszkowską szczegóły ucieczki, możliwe jej miejsca (Mińsk—Moskwa) i czekaliśmy.

W czerwcu otrzymaliśmy odpowiedź: „Władkowi“ pozwolono jechać „na swój koszt“, mnie odmówiono, jako recydywiście.

Co do podziału paszportów sprawa rostrzygnęła się sama przez się. Pozostało najważniejsze — kto pojedzie z „Władkiem”? O ile żandarmi lub szpicle cywilni, ucieczka będzie o wiele trudniejszą, o ile zwykli policjanci, znacznie ułatwiona. Bardzo ostrożnie zaczęliśmy w rozmowach wypytywać i przekonywać naczelnika więzienia, szczególnie zaś jego pomocnika, bo ten był o wiele porządniejszy, że nie warto stwarzać komplikacji, żądając od władz obcych eskorty, najlepiej wybrać ludzi z organów podległych. Po pewnym czasie pomocnik nam oświadczył, że z „Władkiem” pojedzie dwóch policjantów. Najtrudniejsza rzecz była załatwiona.

Zaczęliśmy delikatnie przekonywać naczelnika więzienia i podsuwać mu myśl, że wszak można pobrać koszta podróży na dwóch policjantów, wysłać jednego — po co większe zawracanie głowy? — różnicę zaś schować do kieszeni.

Nie doczekałem się już wyjazdu „Władka”: w czerwcu pewnego wieczoru wysłano mnie i tow. Sawickiego do Moskwy. „Władek” został w Siedlcach. Jak się później okazało, naczelnik więzienia zgodził się z poddaną mu myślą — zamiast dwóch policjantów posłać jednego, różnicę zaś zabrać do swojej kieszeni. Paszkowska zmieniła nasz projekt co do rączki trok. Dla „Władka” były przygotowane buty z paszportem, w Mińsku udało mu się szczęśliwie drapnąć, ja zaś pojechałem sobie do kraju, gdzie mrozy przekraczają 60^o C., do tak zw. bieguna zimna, do Wierchojańska.

Należy tu nadmienić, że w Olekmińsku zrobiono u mnie rewizję na rozkaz Departamentu Policji, z wyraźnymi wskazówkami, że paszport jest wprawiony do podeszwy. Paszport został znaleziony, skonfiskowany, mnie wytoczono nową sprawę, i wszelka nadzieja ucieczki znikła.

Kazimierz Rożnowski

IV

JAK SIĘ WYDOSTAŁ ALEKSANDER MALINOWSKI Z CYTADELI WARSZAWSKIEJ.

W r. 1906, wkrótce po rozłamie w P. P. S., tak zwana „lewica” zwołała na 16 grudnia konferencję Warszawskiego Okręgowego Komitetu Robotniczego, na której miała zdać sprawę przedstawi-

cielom dzielnicowym Warszawy ze zjazdu rozłamowego P. P. S. Na ową konferencję „lewica“ zaprosiła „prawicę“ czyli tak zwaną wówczas Frakcję Rewolucyjną P. P. S., która wydelegowała między innymi towarzyszy: „Nego“ (Gustawa Daniłowskiego), „Romana“ (Aleksandra Malinowskiego), „Witalisa“ (Zbigniewa Woszczyńskiego), „Baja“ (Jędrzejowskiego).

Konferencja w liczbie 63 osób zebrała się o godz. 11 rano w fabryce wyrobów blacharskich Ludwika Braumana przy ul. Przemysłowej. W samym początku obrad wojsko otoczyło fabrykę, policja zaś i żandarmi wkroczyli na salę. Tłumaczenie się zebranych, że przyszli na niewinny odczyt dr. Szpaka, który się trochę spóźnił i jeszcze nie przyszedł, nie przekonało o ich niewinności, zostali aresztowani i odstawieni do najbliższego cyrkułu policyjnego, stamtąd zaś do Ratusza.

Właściciel fabryki zachował się przyzwoicie i po obywatelsku, dotarł do sali, pozapisywał na mankiecie adresy niektórych rodzin aresztowanych i dał znać rodzinom. Też nocy jeszcze Ludwik Brauman został zabrany z domu i osadzony w Ratuszu, skąd po parudniowych usilnych zabiegach mecenasa Stanisława Patka i p. Anny Leliwowej (obecnie tow. Bielkiewiczowej) został wypuszczony na wolność.

Uczestników niedosłej konferencji z Ratusza poprzenoszono jednych na Pawiak, innych do fortów. „Romana“ osadzono w fortach. Opiekę nad Malinowskim z ramienia legalnego „patronatu nad więźniami“ objęła A. Leliwowa, która wyjednała pozwolenie komunikowania się bezpośrednio z więźniami, oczywiście w obecności władz więziennych i policji. Opieka legalna zasadzała się na dostarczaniu wikt, pościeli, bielizny, odzieży, wyekwipowaniu wysłańców i t. p. Zawsze jednak p. Leliwowej udało się wsunąć do rąk więźniów nielegalną „grypsankę“.

W marcu 1905 r. władze carskie wydalily mię z Warszawy i 10-ciu gubernij Królestwa, w jesieni zaś 1906 powróciłam samowolnie do Warszawy. Oczywiście nie miałam dawnej swobody ruchów i nie mogłam brać udziału w jawnych czynnościach patronatu. Zajmowałam się tedy wyszukiwaniem dróg nielegalnego skomunikowania się z uwięzionymi towarzyszami. Grypsanki do „Romana“ od organizacji partyjnej i swoje osobiste dostarczała mi p. Stefanja Dehnelówna (późniejsza żona A. Malinowskiego). Ja odnosiłam je do p. Bronisławy Oryngowej, żony

zamożnego właściciela składu węglowego. Do p. Oryngowej w oznaczonych dniach przychodziła młoda panienska, która mieszkała przy rodzicach w obrębie Cytadeli i codzień chodziła do Warszawy do pracowni, zdaje się krawieckiej. Obie z p. Oryngową wypruwały z listwy spódnicy „grypsy“ od więźniów i na to miejsce wszywały kartki do więźniów. Panienska była pewna, poczta funkcjonowała sprawnie. Nazwiska panienski nie znałam i nie znam dotychczas. Pozatem praca moja w Więziennej Pomocy polegała jeszcze na współdziałaniu z mec. Patkiem w wykręcaniu więźniów politycznych z łap carskich opryszków. Wieczorami, czasem do późnej godziny, wysiadywałam w mieszkaniu mec. Patka przy ul. Królewskiej 25: w poczekalni, salonie, jadalni, czasami nawet w sypialni, czekając chwili, kiedy trzeba było załatwić ten, albo inny drobiazg, z pozoru niewinny, a jednak ważny, czasami zaś decydujący o pomyślnym wyniku.

Sprawę z Przemysłowej prowadził sędzia śledczy Katranowski. Przy rewizji osobistej aresztowanych i w ich mieszkaniach nie znaleziono nic kompromitującego, sprawę ich przeto zaliczono do kategorii lżejszej, tuzinkowej, i bez wszelkiego trudu wypuszczano na wolność za paręset-rublową kaucją. Lecz Malinowski był recydywistą, uciekinierem z przymusowej drogi do Kołymska, wobec czego Katranowski go wyróżnił. Poważna interwencja mec. Papińskiego nie odniosła skutku, o żadnej kaucji Katranowski nie chciał słuchać. Zdawało się, że tym razem niema ratunku dla tow. „Romana“. Mec. Patek nie dał jednak za wygraną i sprawy Malinowskiego nie spuszczał z oka. Naraz dowiaduje się, że Katranowski 2-go kwietnia 1907 r. wyjeżdża z Warszawy i na czas nieobecności zostawia zastępcę.

Patek rozwija cały swój przemysłny kunszt ratowania ofiar walki z caratem. Licząc na nieznajomość sprawy z Przemysłowej, nasyła na zastępcę Katranowskiego damę z towarzystwa — młodą, przystojną, elegancką, sprytną, która, jako rzekomo bliska krewna Malinowskiego, wyjednywa zezwolenie wypuszczenia go na wolność za kaucją.

Teraz trzeba jeszcze jaknajprędzej uzyskać podpis generał-gubernatora. Tegoż dnia jeszcze wieczorem pisze się w kancelarii mec. Patka trzy podania: o zwolnienie za kaucją Aleksandra Malinowskiego i jakiegoś esdeka i zamienienie wysyłki na wyjazd za granicę Jerzego Herynga. Podanie Malinowskiego podpisuje

jego siostra, Jerzego Herynga — siostra Jadwiga za matkę, a ktoś tam jeszcze za kogoś z rodziny esdeka. Wszystkie trzy koperty adresuję ja według wskazówek Patka i umówionej modły tego ostatniego z Jaczewskim. W każdym adresie było inne podkreślenie, które oznaczało stopień szybkości w załatwianiu sprawy. Najpilniejszą sprawą była oczywiście — Aleksandra Malinowskiego, — potem szła sprawa esdeka, na koniec zaś Herynga. Między 11—12 w nocy odniosłam podania do mieszkania prywatnego Jaczewskiego i złożyłam według wskazówek mec. Patka na ręce starego kamerdynera. Trzeciego kwietnia na wszelki wypadek złożyłam u pani Leliwowej 25 rb. dla „Romana“, przedtem jeszcze zawiadomiwszy go „grypsanką“, ażeby pierwsze kroki na wolności skierował do swej opiekunki z patronatu.

Dnia 4-go kwietnia „Roman“, zabrawszy 25 rubli, opuścił Warszawę, ja zaś wtedy siedziałam już w Ratuszu, albowiem w nocy z 3- na 4-ty kwietnia zostałam aresztowana.

Warszawa, dnia 6 listopada 1923 r.

Marja Paszkowska

V

WSPOMNIENIE TOWARZYSZA ROSJANINA O ALEKSANDRZE MALINOWSKIM

Tow. Aleksandra Malinowskiego poznałem w więzieniu w Siedlcach, w marcu 1902 r. Byłem wtedy słuchaczem pierwszego roku w Moskwie i do więzienia siedleckiego dostałem się w sposób następujący. Uczestnicy ówczesnych rozruchów akademickich w Moskwie dostali „po wysoczajszemu powielenju“ po 6 miesięcy więzienia, co mieli odsiedzieć wszyscy razem w Archangielsku.

Ale wielka awantura, urządzona w Butyrkach, skłoniła władze do podzielenia nas na małe grupy i wysłania do więzień prowincjonalnych. Jedna z takich grup, złożona coś z 11-tu ludzi, do której i mnie włączono, pojechała aresztanckim wagonem z Moskwy do Siedlec.

Wczesnym rankiem pochmurnego marcowego dnia dotarliśmy do celu naszej przymusowej podróży. Na peronie czekał konwój —

kilkunastu zaspanych żołnierzy pod komendą jakiegoś porucznika. Ten ostatni ustawił nas parami i demonstracyjnie rozkazał żołdatom używać w razie potrzeby, nie krępując się, kolby albo broni. Smutno nam się zrobiło. Co nas czeka dalej po takim początku?

Z zewnątrz więzienie wydało nam się dość ponurem. Domyśliliśmy się, że będziemy siedzieli w „odinoczkach“. Istotnie, po załatwieniu zwykłych formalności wprowadzili nas po żelaznych schodach na galeryjkę 2 go piętra, łączącą celki, do których nas jednego po drugim zamykano. Celki te były małe, ale przynajmniej czyste. Łóżko żelazne, przymocowane do ściany; do ściany również wprawione dwie płyty żelazne: stół i siedzenie; w kącie wiadro — było to całe umeblowanie. Najgorsze, że okienko było małe i bardzo wysoko umieszczone.

Po pewnym czasie o piętro niżej zaczęto otwierać drzwi. Rzuciliśmy się — każdy w swej celi — do „judaszów“ i zobaczyliśmy grupę ludzi ubranych „po cywilnemu“, prowadzonych gdzieś, pewnie na „progułkę“. Czy nie towarzysze czasem? — Zaczęliśmy wołać do nich przeze drzwi i — o radości! — okazało się, że są to istotnie „polityczni“.

„Żądajcie połączenia z nami na jednym piętrze!“ — krzyknął ktoś z nich. Prawie natychmiast podjęliśmy odpowiednią akcję i w parę dni naczelnik więzienia, niejaki Popow, człowiek niezmiernie podły, głupi i tchórzliwy, po porozumieniu się z wyższymi władzami przeniósł na nasze piętro siedzących niżej „polityków“. Wśród nich znajdował się i tow. Malinowski. Z innych przypominam nazwiska t. t. Rożnowskiego, Sawickiego, Pruszkowskiego i Masiuka. Wszyscy, oprócz dwóch, byli po wyroku i czekali na wysłanie. Tow. Malinowski miał 8 lat Jakutów i w tym czasie czekał na pozwolenie jazdy na własny koszt do miejsca wygnania.

Łatwo sobie wyobrazić, jak nas ucieszyło wspomniane połączenie, głównie zaś poznanie działaczy polskiego ruchu robotniczego, o którym wtedy mieliśmy nader słabe wyobrażenie.

Znalazłszy się razem, zaczęliśmy przedewszystkiem wspólnymi siłami walczyć o lepsze warunki bytu. Nadspodziewanie łatwo udało się nam uzyskać, że przez cały dzień, coś od 8-ej rano do 6-ej wieczór, cele były otwarte i światło wolno było palić do późna w nocy; potem, przy poparciu lekarza więziennego, dano nam dwa parogodzinne spacery dziennie z piłowaniem

drzewa, grami ruchomemi na świeżem powietrzu i t. p.; potem uzyskaliśmy prawo korzystać codzień z natrysków w łazience „dla nerwów“. Palenie tytoniu odrazu było dozwolone. Po zakupy dwa razy tygodniowo chodził jeden z dozorców, obiady zaś przysyłano nam z miasta — zaopiekowała się tem grupa miejscowych „sympatyków“. Pozatem towarzysze z P. P. S. mieli całą wychodzącą wtedy „bibułę“, nawet rosyjską, głównie eserowską. Szczytem naszego powodzenia było wydobycie aparatu fotograficznego i 3-ch tuzinów klisz, dzięki czemu powstał cały szereg pamiątkowych zdjęć.

O poradę i wskazówki, czy to chodziło o walkę z administracją, czy o jakąś kwestję natury teoretycznej albo partyjnej, najczęściej i najchętniej zwracaliśmy się do tow. Malinowskiego. Zawsze był on w dobrym humorze, zawsze chętny do pomocy i wyrozumiały dla naszej młodości i zapału. Rozmawialiśmy po rosyjsku, ale wkrótce nauczyliśmy się nie tylko rozumieć ale i czytać po polsku. Administracja też uważała tow. M. za figurę centralną wśród politycznych: z nim naprz. pertraktowano, kiedy chcieli dojść z nami do jakiejś zgody. Wspomniany Popow, naczelnik więzienia, może wbrew własnej woli, z szacunkiem odnosił się do tow. M. „Pomyślcie sobie, młodzieńcy“ — mówił do nas, studentów, — „jest on inżynierem, mądrym człowiekiem. Jaką posadę mógłby mieć! I co z nim ten socjalizm zrobił: zachciało mu się drukować gazetę, i to jeszcze dla robotników!“ Wiedział coś niecoś o drukarni w Łodzi, słyszał, jak okazało się z dalszej rozmowy, i o Józefie Piłsudskim.

1-go maja obchodziliśmy uroczyście Z okien wywiesiliśmy czerwone chorągiewki, zrobione z poszewek, na rannym spacerze urządziliśmy pochód... na dziedzińcu więziennym (było nas około 25-ciu) ze śpiewem „Czerwonego Sztandaru“ i „Marsyljanki“. Nawet czerwone goździki skądś wydobyliśmy. Administracja nie przeszkadzała. „Polityczni“ siedzieli w siedleckim więzieniu dopiero od paru miesięcy, bano się ich zaczepiać i wogóle nie wiedziano dobrze, jak z nimi się obchodzić. Nauczono się tego niestety bardzo prędko. Na 1-go maja następnego t. j. 1903 roku, politycznych przy próbie urządzenia obchodu poprostu pobito...

Przyszło nareszcie pozwolenie dla tow. M. jechać na własny koszt. Przedtem jeszcze od czasu do czasu zabierano nam kogoś z towarzyszy i przyłączano do „etapów“, jadących na północ.

Odbywało się to zawsze w nocy. Na całe życie utkwilo mi w pamięci hałaśliwe otwieranie drzwi, kroki żołnierzy, błysk latarek, a potem słowa pożegnania: „Do widzenia, towarzyszel Niech żyje P. P. S.!”

Przeczuwaliśmy, że nie dla wygód podróży starał się tow. M. o pozwolenie jechania na swój koszt. Nie bardzo zresztą wobec nas konspirował. Przeczuwała to widocznie również żandarmerja, bo kiedyś w południe niespodziewanie zjawił się z rewizją do tow. M. sam naczelnik „żandarmskiego uprawienia“, jakiś podpułkownik z odpowiednią asystą. W celi tow. M. ktoś z towarzyszy akurat zaszywał złote pięciorublówki, robiąc z nich śliczne guziki do kamizelki. Trochę tych pieniążków wpadło w żandarmskie ręce, ale nie wiele. Rewizja była bardzo gruntowna: odpruwali podszewki, oderwali nawet podeszwy od butów. Wychodzącym żandarmom urządziliśmy piekielną kocią muzykę i cieszyliśmy się jak dzieci, kiedy wielce zgorzony naczelnik opowiadał nam potem, że tow. M. nie tylko nie przyjął wyciągniętej ręki p. podpułkownika, ale jeszcze powiedział, że „żandarmom ręki nie podaje“.

Na pożegnanie tow. M., kiedy dzień jego wyjazdu był nareszcie ustalony, urządziliśmy prawdziwą ucztę. Nawet mały flakonik obrzydliwej jakiejś wódki wydobyliśmy od kryminalnych, a na przekąskę — świeże rzodkiewki z ogrodu więziennego. Smutno nam było, ale i cieszyliśmy się jednocześnie, do ostatniej bowiem chwili można było obawiać się, że żandarmi cofną pozwolenie i że tow. M. będzie musiał jechać „etapem“.

A w kilka dni po jego wyjeździe przez zaufanego dozorcę doszła nas upragniona wiadomość: tow. M. jest na wolności, uciekł z pociągu gdzieś koło Mińska...

Co tydzień prawie wywożono kogoś z towarzyszy na wygnanie. Skończył się nareszcie i nasz termin, znów byliśmy wolni. Więzienie, ta najlepsza szkoła polityczna carskiej Rosji, zrobiła swoje. Wyszliśmy z niego z gorącym pragnieniem jaknajprędzej wziąć udział w tym potężnym ruchu robotniczym, którego polskich przedstawicieli poznaliśmy w więzieniu w Siedlcach.

Upłynęło kilkanaście lat. Różnie przez ten czas z człowiekiem się działo: był i na wozie i pod wozem, póki fala emigracyjna nie wyrzuciła zagranicę, a gruźlica nie zapędziła do Zakopanego. W drugim, zdaje się, roku wielkiej wojny na werandzie cukierni

Przanowskiego, niespodzianie znów spotkałem tow. M. Od tego czasu widywaliśmy się za każdym Jego tu przyjazdem.

Dwadzieścia jeden z górą lat minęło od czasu naszego wspólnego więzienia, a dotąd z żywą i serdeczną wdzięcznością wspominam tow. Malinowskiego, Jego wpływ na nas, młodych studentów i Jego rolę w ukształtowaniu się naszego światopoglądu socjalistycznego.

Cześć Jego pamięci!

Zakopane, w październiku 1923.

B o r y s W i g i l e w

VI

Śp. Aleksander Malinowski, jakkolwiek typ konspiratora z zaboru rosyjskiego, umiał w czasie swego pobytu w Galicji doskonale pojąć warunki życia konstytucyjnego, zrozumieć psychologię ruchu socjalistycznego, prowadzącego swą politykę na legalnym gruncie, i ocenić zarówno potrzeby, jak i ogrom i doniosłość prac kulturalnych, społecznych i gospodarczych, wkładanych w ten ruch przez ówczesną polską partję socjalno-demokratyczną zaboru austriackiego. Z całym zrozumieniem jej charakteru i zadań starał się on poprzeć ją w jej robotach. Umysł jasny, realistyczny, nie ścieśniony doktrynerstwem, natura nieznosząca bezczynności, dusza dozgonnie oddana wiernej służbie idei, budował Aleksander Malinowski w Galicji domy robotnicze w Przemyślu i w Krakowie z przeświadczeniem, że spełnia w innej formie tę samą służbę, jaką spełniał w zaborze rosyjskim pracą konspiracyjną, dla tej samej sprawy, dla tego samego celu.

Poznałem go bliżej za jego pobytu w Galicji i zaprzyjaźniłem się z nim serdecznie. Poznałem w nim ducha jasnego, charakter bez skazy, serce pełne dobroci, nieznające żadnych złych uczuć. Wszyscy towarzysze, którzy w pracy partyjnej z nim się zetknęli, to samo odnosili wrażenie i każdy musiał go pokochać.

W Polsce wskrzeszonej często prowadziliśmy długie rozmowy z śp. Aleksandrem Malinowskim, który żywo interesował się zagadnieniami bytu państwowego Polski i potrzebami polskiego

ruchu socjalistycznego. Poglądy jego były głębokie, krytyczne, rozumne, płynące z trafnego ujmowania rzeczywistości i zrozumienia problemów gospodarczych, dla których żywe posiadał zainteresowanie.

Jego to w przeważnej mierze zasługą było sprowadzenie do Polski śp. Gabriela Narutowicza, którego osobistym był przyjacielem. Znając oddawna Narutowicza i ceniąc jego zdolności i charakter, śp. Malinowski czynił starania, by pozyskano go dla Polski jako ministra robót publicznych. Dożył jeszcze zamordowania Narutowicza. Wiadomość o tej zbrodni podziałała na niego straszliwie i, rzec można, dobiła go.

Albowiem Malinowski chorował obłożnie już od jesieni. Gruźlica czyniła szybkie postępy. Z tego powodu nie mógł Malinowski brać czynnego udziału w kampanji wyborczej 1922 r. Interesował się jednak bardzo żywo wyborami. Nieraz spędzałem przy jego łożu godziny i musiałem go informować szczegółowo. W listopadzie, gdy zdecydowano wysłać go do Zakopanego, wezwał mnie do siebie i złożył na moje ręce większą sumę na cele partyjne. Odniosłem przygnębiające wrażenie, że żegna się on w ten sposób ze mną i z partją na zawsze.

Istotnie, z Zakopanego powrócił do Krakowa już w trumnie. Na cmentarzu rakowickim spoczęły jego zwłoki 29 grudnia 1922.

W pierwszą rocznicę zgonu Aleksandra Malinowskiego wychodzi niniejsza książka zbiorowa, wydana przez wdowę w tej myśli, aby jako spuścizna po ojcu służyła jego dzieciom za drogowskaz w życiu. Ale pozatem to zwierciadło pięknej duszy ofiarnego bojownika o najwyższe ideały będzie towarzyszem zmarłego drogą pamiątką, a młodszemu pokoleniu polskich działaczy społecznych dostarczy budującego przykładu do naśladowania.

Emil Haecker

Ry. — 56/13162



